

WYWIAD Z DAVE'EM MCKEANEM

# NOWA Fantastyka

02 (365) MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



W SPRZEDAŻY  
OD 14 LUTEGO

## PUBLICYSTYKA:

**ŁOWCA POTWORÓW**

– VAN HELSING I INNI

**ŚWIAT CZAROWNIC**

– KLASYKA OD ANDRE NORTON

**BATTLESTAR GALACTICA**

– KREW, CHROM I ŁZY



## OPOWIADANIA:

TAD WILLIAMS

PAUL MELKO

PAWEŁ CIEĆWIERZ

PRÓSZYŃSKI  
MEDIA

© 2004 Universal Studios.  
All Rights Reserved





Fot. M. Kowalczyk

04

Do kin niebawem trafią „Hansel i Gretel: Łowcy czarownic”. Przed nimi byli m.in. Van Helsing, Lincoln, a nawet Jezus.

10

Motyw ewolucji przewija się w SF od zawsze. Bywa, że w tonacji optymistycznej i wzniosłej, kiedy indziej zaś mrocznej i ponurej. Dzisiejsza fantastyka za ewolucją w tle znajduje się w fazie pesymistycznej.



6

Czy możemy z czystym sumieniem powiedzieć, że dobrze znamy rosyjską fantastykę? Nieźle mamy opanowanych klasyków. Gorzej z twórczością autorów współczesnych, zwłaszcza tą najnowszą.

12

Po trzech dekadach Maciej Parowski odchodzi na emeryturę. Nadal jednak będzie z nami współpracował – oczekujcie jego artykułów w bonusowym pdf-ie na stronie [www.fantastyka.pl](http://www.fantastyka.pl).

## DOBRE, ŻE NIE ŻYWE TRUPY

Podobno znaleźć temat do wstępniaka to dla niektórych redaktorów męka. Odkąd jestem naczelnym, a w tym roku miną trzy lata, nie przypominam sobie, bym takie męki cierpiał. Na moje oko czas dla fantastyki jest znakomity, a więc tematów nie brak. Dowodem, że czas znakomity, jest dla mnie to, że każdy, nawet zupełnie z fantastyką niezwiązany człowiek, chce do niej nawiązać, pogrzać się w jej blasku, ocenić jej chwałę. Oczywiście, nic nie przebije Islandczyków, którzy, jak dowiedziałem się z „Wysokich Obcasów”, a konkretnie z artykułu Witolda Szabłowskiego „Niewidzialne dzieci Adama i Ewy”, konsultują ponoć z elfami plan dróg krajowych. Do tego brat ministra spraw zagranicznych Islandii w chwilach wolnych od wielkiej polityki prowadzi – nie, nie przesłyszeliście się – szkołę elfów. Uczą w niej elfich zwyczajów i języka, a za dodatkową opłatą sprawią, że człowiek nauczy się, jak widzieć elfy (bo to nie takie proste). Kto to przebije?

Kiedy zastanawiałem się, kto przebije Islandczyków z ich miłością do fantastyki, doszły mnie słuchy („doszedł mnie link” brzmi jakoś gorzej, więc pozostanę przy słuchach), że opiniootwórczy magazyn „W Sieci” w jednym z numerów stawia brawurową i intelektualnie stymulującą tezę, że Polacy są hobbitami Europy. Tak jest: hobbitami. Już nie pawiem, nie papugą i nie Chrystusem nawet, jak sugerowali poeci, lecz pobratymcami Froda, Bilba, a może też Peregrina Tuka. Co by nie mówić: teza ryzykowna. Jak by się nie ustawić wobec tych rewelacji: śmieszność. O porównywaniu Jana Pawła II do Gandalfa waham się wspomnieć, bo za duży mam szacunek zarówno do postaci realnej, jak i tej zmyślonej. Ale też, powiem od razu, desperacki gest publicystów rozumiem. Bo jak o „Hobbicie” nie wspomnieć, kiedy wszyscy „Hobbitem” żyją. I tylko ulga w sercu, że „Żywe trupy” cieszą się mniejszym wzięciem. Bo do czego by nas wtedy publicyści chcieli porównać, byle tylko wciąż być na topie – wolę nie wiedzieć.

Jakub Winiarski

## PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 AMATOR *Jakub Ćwiek*
- 4 ŁOWCA POTWORÓW: HISTORIA PRAWDZIWA *Robert Ziębiński*
- 6 ROSYJSKA FANTASTYKA OSTATNIEGO 30-LECIA *Paweł Laudański*
- 10 DARWIN W WIELKIM MIEŚCIE *Wawrzyniec Podzucki*
- 12 FARCJARZ, GRZYBIARZ, CICERONE... *Maciej Parowski*
- 14 KOMIKS PRZEŻYWA ŻŁOTĄ ERĘ *wywiad z Dave'em McKeanem*
- 63 RADY DLA PISZĄCYCH, ODC. 14 *Michael J. Sullivan*
- 65 FANTASTYCZNY ŚWIAT DAMSKO-MĘSKICH ANIMOZJI *Mateusz Albin*
- 72 ROZJAŚNIANIE DARK FUTURE *Rafał Kosik*
- 73 WYBRYKI PHILIPA K. DICKA *Peter Watts*
- 74 INGRESS... *Paweł Chelchowski*
- 77 BATTLESTAR GALACTICA - KREW, CHROM I ŁZY *Paweł Deptuch*
- 78 DON I WAHADŁO *Łukasz Orbitowski*

## PROZA POLSKA

- 17 CENĄ BĘDZIE SAMOTNOŚĆ *Bernadeta Prandzioch*
- 22 NON SERVIAM *Paweł Ciećwierz*
- 31 RZEŹBIARZE ŚWIATŁA *Maciej Musiałik*
- 35 LWIĄTKO HERAKLESA *Maciej Salamończyk*

## PROZA ZAGRANICZNA

- 39 JESTEŚ TUTAJ? *Jack Skillingstead*
- 48 DZIESIĄTA MUZA *Tad Williams*
- 57 DZIESIĘĆ SIGM *Paul Melko*
- 61 ZAJĘCIA W TERENIE *Alex Shvartsman*

## RECENZJE

- 67 KSIĄŻKI 71 FILM 76 KOMIKS



## W NASTĘPNYM NUMERZE:

MACIEJ PAROWSKI  
EUKLIDESJA

DAVID MARUSEK

O MAŁO NIE OSZALELIŚMY Z RADOŚCI

FANTASTYKA WYDANIE SPECJALNE 1/2013  
OD 21 STYCZNIA



Fot. J. Lubas

## JESTEŚ TYM, CO CZYTASZ

Mówi się *Jesteś tym, co jesz*. Mówi się także *Jesteś tym, co czytasz*. Można to różnie interpretować. Z jednej strony, dobór lektur wiele mówi o człowieku, jego poglądach i zainteresowaniach. Z drugiej, każda lektura pozostawia w nas ślad, jak koło na drodze. Jeśli sięgamy stale po podobne książki z tych samych gatunków albo po autorów, którzy mają poglądy identyczne z naszymi, to tak jakbyśmy jechali głęboką, wyjeżdżoną przez innych koleiną, z której coraz trudniej ruszyć się na boki, skierować się na inne szlaki. Najgorzej, gdy koleina staje się tak głęboka, że nie widać z niej reszty świata.

Pamiętam, jak lata temu zdziwiłem się, gdy klient przede mną poprosił w kiosku o „NIE” i „Nasz Dziennik”. Trudno o zderzenie większych skrajności. Z czasem zrozumiałem i doceniłem logikę takiego działania. W czasach, gdy zdaniem wielu to, co człowiek czyta, określa to, kim jest, facet, który naraz kupuje „NIE” i „Nasz Dziennik” może być... sobą.

A jak Wy wybieracie swoje lektury?

Przy premierach książkowych warto na starcie wspomnieć o tytule, który wskoczył w kolejkę w Uczcie Wyobraźni: „Pusta przestrzeń” M. Johna Harrisona, kolejny tom z uniwersum powieści „Światło” i „Nova Swing”. Ukazuje się również druga część „Sagi o Rubieżach” Liliany Bodoc. Kolejną pozycją wartą uwagi może być „Składany nóż” K.J. Parker, o której/którego twórczości Orson Scott Card napisał, że kandyduje do wielkości. Kolejna nowość to „Przebudzenie Lewiatana” Daniela Abrahama i Tya Francka piszących pod wspólnym pseudonimem James S.A. Corey. Nasi współpracownicy czytali już część tych książek, więc zapraszam do działu recenzji, z którego dowiecie się, jakie były ich wrażenia. Jeśli chodzi o polskich autorów, miłośników twórczości Andrzeja Ziemiańskiego ucieszy zapewne dalszy ciąg „Pomnika Cesarzowej Achai”.

W kinie czekają nas „Hansel i Gretel: Łowcy czarownic” – w rolach Jana i Małgorzaty polujących na złe wiedźmy zobaczymy Jeremy’ego Rennera i Gemmę Arterton. Z tej okazji w numerze czeka Was artykuł Roberta Ziębińskiego o Van Helsingu i jemu podobnych.

Półka z komiksami tym razem przedstawia się dużo ciekawiej. Znajdziemy na niej pierwszy album z kolejnego spin-offu Thorgala: „Trzy siostry Minkelsönn”. Pojawi się również pierwsza część „Trybunału sów”, w którym Batman musi stawić czoło potężnej starożytnej organizacji. Komiks ten ukazał się w ramach odnowionego uniwersum DC. Przepięknie prezentuje się „Murena” z grafikami belgijskiego artysty Jeana Dufaux, której akcja toczy się za panowania Nerona.

Jerzy Rzymowski

NA LUTY POLECAMY:



**J.S.A. Corey**  
– „Przebudzenie Lewiatana”

– kryminalna space opera (recenzja w numerze).



**L. Bodoc** – „Saga o Rubieżach” t. II

– kontynuacja cyklu argentyńskiej pisarki polecanej przez Ursulę Le Guin.

KOMIKS



„Thorgal: Młodzieńcze lata #1. Trzy siostry Minkelsönn”

– gwiazdne dziecko w akcji.

FILM



„Hansel i Gretel: Łowcy czarownic”

– Jaś i Małgosia dorosli i mają ostrą amunicję.

styczeniowe premiery

## Superbohaterowie w bezpardonowej walce o Ziemię!

# BRAINMAN

Debiutancka powieść znanego polskiego scenarzysty Dominika W. Rettingera

patronat medialny

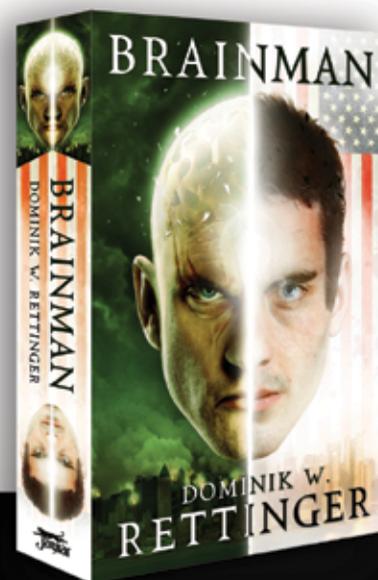
Nastek.pl

DEANT

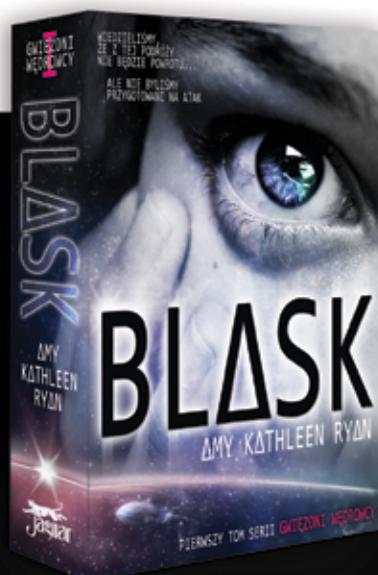
PARADOKS

SECRETUM.PL

kawoona.pl



www.wydawnictwo-jaguar.blogspot.com



# BLASK

## AMY KATHLEEN RYAN

Pierwszy tom trylogii *Gwiazdni wędrowcy*  
Dwa statki, dwie załogi, jeden cel - nowy dom!



www.wydawnictwo-jaguar.pl

patronat medialny

Nastek.pl

gavran

DEANT

PARADOKS

kawoona.pl

SECRETUM.PL



# ŁOWCA POTWORÓW: HISTORIA PRAWDZIWA

ROBERT ZIĘBIŃSKI

Rzecz miała miejsce w 2007 roku, w małej serbskiej miejscowości Pożarewac. W nocy grupka łowców wampirów wykopała z grobu jugosłowiańskiego dyktatora **Slobodana Miloševića** i wbiła w jego serce kotek. I chociaż ten akt bezczeszczenia zwłok próbowano później tłumaczyć pokrętnie polityczną grą, to oskarżeni nigdy nie zmienili swoich zeznań. Wbili kotek w serce Miloševića, bo, jak przystało na łowców wampirów, nie chcieli dopuścić, aby powstał on z grobu i znów zabijał.

Przytaczam tę historię nie bez powodu. Wszak tematem przewodnim moich rozważań mają być łowcy potworów, a jakże inaczej można rozpocząć tekst o nich, jeśli nie w ich rodzinnych stronach? Wierście lub nie, ale Bałkany są miejscem, bez którego figura łowcy polującego na złe stwory zapewne nigdy by się nie narodziła. Co w sumie nie dziwi, biorąc po uwagę fakt, że stamtąd pochodzi także najsylniejszy wampir. Kto sieje wiatr, zbiera burzę. Dajesz wampira, warto też od razu podać na niego lekarstwo.

## URODZENI W SOBOTĘ

Łowca potworów zazwyczaj urodzony był w sobotę, bo tylko ci, którzy na świat przychodzili tego dnia, zgodnie z wierzeniami, zdolni byli ujrzeć prawdziwe oblicze wampira. Ujrzeć, a potem zabić, wbijając w serce osikowy kotek. Choć dla pewności warto było jeszcze obciąć mu łeb. Aby wzmacniać swój dar widzenia, często musieli żywić się surowym mięsem owiec zabitych przez wilka, najlepiej podczas pełni księżyca.

Jest jeszcze jeden dość istotny szczegół. Najniebezpieczniejszy łowca to ten, który doskonale zna zwierzynę, na którą poluje. Ten, w którego żyłach płynie podobna krew. Mógł to być pół-wampir, pół-człowiek, poczęty przez nieumartego krwio pijącą i kobietę. Najczęściej owoc gwałtu. **Dhampir** jak zwano go w Rumunii, w Serbii zaś **vampirović**.

Bogobojni Chorwaci, który wzbranił się przed jakimikolwiek kontaktem z tym nasieniem diabła, mieli swoich łowców, zwanych **Krsnikami**. Nie pochodzili oni z tona złego, lecz także posiadali moc nadprzyrodzoną. Nocami opuszczali swe ciała, by pod postacią białych drapieżników ścigać złe po lasach. W dzień, w ludzkiej postaci, zazwyczaj pełnili w swych wioskach funkcje medyków lub szamanów. Wielu z nich zarówno wiedzę o istotach, na które polowali, jak talenty medyczne zdobyło pobierając nauki magii w Szkole Czarnej Magii w Babilonie. Zdarzało się niestety i tak, że Krsnik odwracał się od dobra.

Przy takich indywidualach święty Jerzy, który na smoki polował, jak i nasz Szewczyk Dratewka – jedyny prawdziwy łowca potworów, o którym uczy się w Polsce dzieci w szkołach – są niewiniątkami, jakich w mrocznym świecie podać i baśni ze świecą szukać.

## JAŚ I MAŁGOSIA DOROŚLI

Za niewiniątka do tej pory uchodzili także Jaś i Małgosia. Rodzeństwo zmuszone poradzić sobie z występłą wiedźmą, która chciała schrupać je na kolację. Ile w tej historii było prawdy, nie dowiemy się nigdy. Spisujący ją bracia Grimm (przez niektórych także uznawani za łowców potworów, by przypomnieć sobie tylko film Terry'ego Gilliana „**Nieustraszeni Bracia Grimm**”) opierali się na wielu materiałach źródłowych.

Opowieść o Jasiu i Małgosi sięga bowiem średniowiecza i czasów Wielkiego Głodu. To wtedy rodzice, ponoć zmuszeni przez okrutne okoliczności, mieli zjadać własne dzieci, a potem

Kadry z filmów „Van Helsing”, „Hansel i Gretel: Łowcy czarownic”, „Nieustraszeni bracia Grimm” i z serialu „Supernatural - Nie z tego świata”

# ROSYJSKA FANTASTYKA OSTATNIEGO TRZYDZIESTOLECIA – PRÓBA SYNTEZY

PAWEŁ LAUDAŃSKI

**CZY MOŻEMY  
Z CZYSTYM SUMIENIEM  
POWIEDZIEĆ, ŻE DOBRZE  
ZNAMY ROSYJSKĄ  
FANTASTYKĘ? NIEŻLE  
MAMY OPANOWANYCH  
KLASYKÓW. GORZEJ  
Z TWÓRCZOŚCIĄ AUTORÓW  
WSPÓŁCZESNYCH,  
ZWŁASZCZA  
TĄ NAJNOWSZĄ.**

Ilustracja John Zeleznik, fragment okładki „Fantastyka Wydanie Specjalne” 01/2006 (powieść Aleksandra Zoricza „Jutro wojna”)

I  
Pierwszy numer „Fantastyki” ujrzałem w dniu jego dostarczenia do kiosku w jednej z podwarszawskich miejscowości. Miałem wtedy nieco ponad jedenaście lat. I choć przemknęło mi przez myśl, by część kieszonkowego przeznaczyć na pismo z roznegliżowaną wojowniczką na okładce, to nie poszedł za tym czyn i ów kultowy, osiagający potem niebosiężne ceny na różnego rodzaju giełdach numer, do mych rąk nie trafił. Cóż – jeden z błędów młodości.

Moim pierwszym kupionym był wrześniowy numer z 1983 roku. Było w nim opowiadanie Rosjanina Wadima Szeferna, „Zapiski posiadacza zębów”. Podchodziłem do niego jak pies do jeża, bo choć zaczynałem swą przygodę z fantastyką między innymi od prozy Strugackich, to do produkcji określanych jako „radziecka fantastyka” szczególnego afektu nie odczuwałem.

Poza wspomnianymi Strugackimi i Bułyczowem niewiele ciekawej fantastyki z ZSRR trafiało do rąk polskich czytelników. To dawkowana wtedy z umiarem fantastyka zachodnia miała znak jakości. Radziecka plasowała się w prywatnych rankingach moich i znajomych czytających SF o wiele niżej, bowiem w znaczącej części sprawiała wrażenie, że tylko kraj pochodzenia wyjaśniał fakt jej publikacji po polsku.

Z dzisiejszej perspektywy widać, że aż

tak źle przed rokiem 1982 z radziecką fantastyką tłumaczoną na polski nie było. Strugaccy i Bułyczow, niezłe opowiadania Dymitra Bilenkina („Miasto i wilk”, „Ciśnienie życia”), Ilji Warszawskiego („Na atolu” „Wycieczka do Pennfield”, „Ucieczka”), Sewera Gansowskiego („Dzień gniewu”), Władimira Michajłowa („Spotkanie na Japecie”), Wiktora Kofupajewa („Bilet do dzieciństwa”), Olgi Łarionowej („Sonata węża”), Leonida Panasienki („Pracownia dla Siqueirosa”) i Aleksandra Żitińskiego („Efekt Brumma”), oraz powieści: „Pięciu na Deimosie” wspomnianego Michajłowa, „Dalekie szlaki” Siergieja Sniegowa czy „Komisarz Hard i błękitni ludzie” Pawła Bagriaka. Całkiem sporo. A wymieniałem tylko tytuły, które przysły mi do głowy bez wsparcia pamięci notatkami lub lustracją domowej biblioteki.

II  
Większość wymienionych utworów ukażała się w oryginale w złotym okresie radzieckiej fantastyki, datowanym na lata 60. i początek lat 70. minionego stulecia. To okres względnej swobody twórczej, kiedy czujność cenzury bywała mocno osłabiona. Ów złoty wiek zakończył się w 1973 r., wraz z przejęciem redakcji fantastyki wydawnictwa „Mołodaja Gwardija” przez ludzi posłusznych władzy, literackie

miernoty, rozumiejące fantastykę wyłącznie jako jedno z narzędzi w służbie komunizmu.

Wielu autorów nadających dotąd ton radzieckiej prozie fantastycznej na długo straciło możliwość publikowania. Młodzi, których twórczość nie pasowała do usankcjonowanych przez władzę schematów, o wydaniu książki mogli pomarzyć. Gdyby nie nieliczne publikacje prasowe, ich nazwiska nie byłyby w ogóle znane.

Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero z chwilą dojścia do władzy Michajła Gorbaczowa, choć zmiany te stały się zauważalne dopiero tuż przed rozpadem ZSRR. Centralne wydawnictwa obracały się w kręgu zaufanych autorów, miłych władzy a niekoniecznie czytelnikom. Twórcy piszący w sposób odmienny od obowiązującego mieli szansę na dotarcie do czytelników dzięki niskonakładowym książkom wypuszczanym przez prowincjonalne wydawnictwa oraz czasopismom w rodzaju „Uralskowo sliedopyta”, „Znanije-Sily” czy „Chimiji i žizni”.

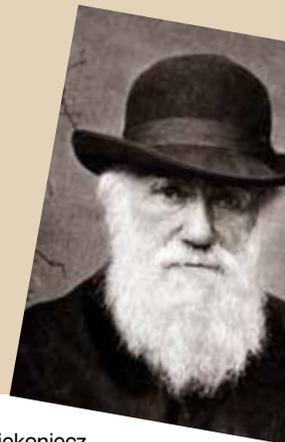
U nas w latach 80. także funkcjonowała cenzura, choć zapewne nie miała w zwyczaju ingerować w treść utworów przepuszczonych już przez sito swych radzieckich odpowiedników. Można zatem założyć, że nasi wydawcy cieszyli się względną swobodą przy wyborze do publikacji tekstów wydanych oficjalnie u wschodniego

# DARWIN

## W WIELKIM MIEŚCIE

WAWRZYNIEC PODRZUGKI

**MOTYW EWOLUCJI  
PRZEWIJA SIĘ W SF  
OD ZAWSZE. BYWA, ŻE  
W TONACJI OPTYMISTYCZNEJ  
I WZNIOSŁEJ, KIEDY INDZIEJ  
ZAŚ MROCZNEJ I PONUREJ.  
DZISIEJSZA FANTASTYKA  
Z EWOLUCJĄ W TLE ZNAJDUJE SIĘ  
W FAZIE PESYMISTYCZNEJ.**



**D**zieje się tak prawdopodobnie z powodu coraz powszechniej wyrażanego przekonania, że dobór naturalny w przypadku człowieka już nie działa. Że w swym ewolucyjnym postępie *Homo sapiens* osiągnął szczyt i dalej są już możliwe tylko dwie drogi: albo w dół, ku zezwierzęceniu i skretynieniu, albo do góry, ale jedynie ciągnąc się, niczym baron Münchhausen, za harcap kontrolowanej inżynierii genowej i rozmaitych technosztuczek. Nic dziwnego zatem, że autorzy nie widzą sensu w spekulowaniu na temat dalekosiężnych konsekwencji procesu, któremu ludzkość przestała podlegać. Lepiej skupić kreatywne moce na pisaniu o transhumanistycznych cyborgach, ewentualnie bezmózgich degeneratach w postapokaliptycznej scenerii.

### KONIEC DROGI

Nie wiadomo, kto pierwszy rzucił myśl, że ewolucja człowieka stanęła, o ile nawet nie zaczęła się cofać. Wiadomo natomiast, że jeśli taką opinię publicznie wyrazi osoba ze środowiska naukowego, jak np. prof. Steve Jones z University College London albo ostatnio prof. Gerald R. Crabtree z Uniwersytetu Stanforda, popularne media zaraz to podchwycą i rozdmuchają do rozmiarów jeśli nie Armageddonu, to chociaż zaraźliwego memu, który rozprzestrzeni się, bo trafił na podatny grunt i właściwy czas. Rozwój naukowo-techniczny wciąż przyspiesza i proporcjonalnie nasze oczekiwania wobec niego również rosną. Pragniemy zmian, wierzymy w zwycięstwo rozumu nad przyrodą i chcemy kosztować

jego owoców teraz, nie za milion lat. A ewolucja jest jak ślamazarny winniczek, który wpelził na autostradę wprost pod koła rozpędzonej cywilizacji, więc na pochybel ślimakowi! Z drugiej zaś strony, trudno czasem oprzeć się wrażeniu, że ludzkość w swej masie jakby naprawdę ostatnio durniała. Wrażenie jest na tyle silne, że niektórzy zaczynają szukać naukowych uzasadnień tego zjawiska.

### EINSTEIN TO CIENIAS

Wspomniany Gerald R. Crabtree opublikował w listopadowym wydaniu czasopisma „Trends in Genetics” obszerny artykuł pod tytułem „Our fragile intellect” („Nasz kruchy intelekt”, tłum. WP). Argumentuje w nim, że z ewolucyjnego punktu widzenia człowiek najlepsze ma już za sobą, gdyż padł ofiarą własnego sukcesu. Presja doboru naturalnego, który intensywnie i bezlitośnie rzeźbił nasz gatunek przez cały paleolit, znikła pod cieplarnianym kloszem cywilizacji. Teraz ta cieplarnia daje nam wszystko: pełny brzuch, długi żywot, wielu zdrowych potomków, bezpieczeństwo i spokój. Wszystko, oprócz ewolucyjnego kopa i selekcyjnego sita, które jeszcze kilka tysięcy lat temu tak efektywnie oddziaływało genetyczne ziarna od plew. A bez takiego sita owe plewy (tj. przypadkowe mutacje w kilku tysiącach genów odpowiedzialnych za przymiotnik „rozumny”) zaczną się gromadzić, z biegiem pokoleń prowadząc do naszego intelektualnego upadku.

Autor publikacji twierdzi, że wiele rodzajów współczesnych wyrafinowanych poczy-

nań intelektualnych niekoniecznie wymaga większej innowacyjności czy kreatywności niż te prehistoryczne. Wynalazek łuku, który dokonał się prawdopodobnie tylko raz ok. 40 000 lat temu, był według niego czymś co najmniej tak samo kognitywnie skomplikowanym, jak stworzenie języka. Tym, na czym dobór naturalny operował łatwo, były czynności proste (lecz algorytmicznie złożone), jak budowa schronienia czy techniki łowieckie. Natomiast czynności algorytmicznie proste, jak np. gra w szachy, są zaledwie efektem ubocznym tego procesu.

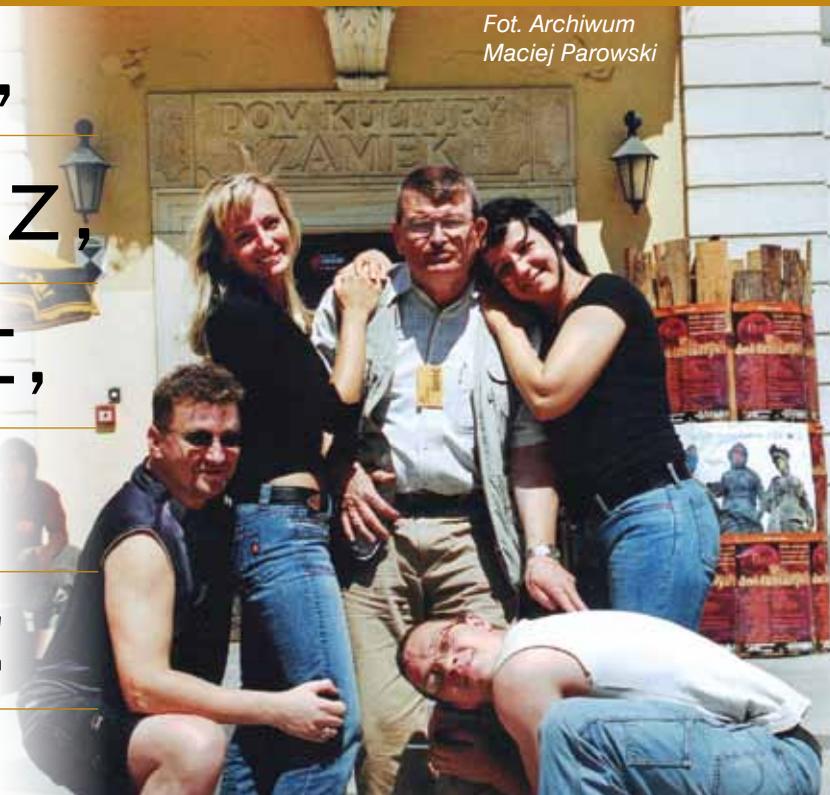
Crabtree porównuje pradawnego zbieracza-myśliwego, który nie był dość sprytny, by poradzić sobie z upolowaniem zwierza bądź zbudowaniem odpowiednio solidnego domu i jako nieatrakcyjny fajtapa ginął bezpotomnie, ze współczesnym maklerem z Wall Street, który ponosząc porażkę porównywalnego kalibru, nie dość, że nie jest eliminowany, to jeszcze dostaje nagrodę i staje się pożądanym partnerem. Według autora to dowód na to, że ostry nacisk selekcyjny należy już do przeszłości.

Krótko mówiąc, Szekspir, Pascal, Einstein, Kasparow i Steve Jobs to w porównaniu z pierwszym lepszym jaskiniowcem mentalni słabeusz. Cokolwiek ważnego było do zrobienia, zrobił to Fred Flintstone z ferajną. Nam pozostaje równia pochyła, po której nieubłaganie sturlamy się do „idiokracji”. A w najlepszym razie do świata podzielonego między paru inteligentnych, lecz złych Morloków i masy przeszcześliwych w swym imbecylizmie Eloï.

# FARCIARZ, GRZYBIARZ, CICERONE, PIENIACZ, GRABARZ!

MAGIEJ PAROWSKI

Fot. Archiwum  
Maciej Parowski



*Dni Fantastyki, Wrocław, Centrum Kultury Zamek 2006. Jacek Piekara, Magda Kozak, M.P., Dominika Repeczko i Łukasz Orbitowski*

Miałem trochę szczęścia. Marzyłem o tzw. wysokiej literaturze, lecz studiowałem na politechnice i brałem się za branżę mało szacowne, które potem nabierały znaczenia. Dobre koniunktury przychodziły same, ale nie od razu umiałem je dostrzec. Pojawiałem się na różnych działkach w dobrym momencie, gdy ogarniał je prąd wznoszący i zewsząd ciągnęło dobre towarzystwo. Te działki to „Politechnik”, „Fantastyka”, komiks.

40 lat temu w PRL prasa studencka uchodziła za medium niepoważne i peryferyjne, ale im bliżej Sierpnia '80 tym lepiej było widać, gdzie gromadzą się wolne umysły. Był stamtąd dobry widok na cuda studenckiej kultury. Teatry, jak STU, Ósmego Dnia, łódzkie Siódemki, Pleonazmus, Scena Plastyczna KUL Leszka Mądzika. Kabarety, jak Salon Niezależnych, bardowie jak Jacek Kaczmarski i Przemek Gintrowski. Aktywny ruch DKF, czy buntownicze festiwale – świnoujskie Famy, festiwale teatru otwartego we Wrocławiu i studenckiego w Łodzi, festiwale studentów szkół artystycznych na Śląsku i Wybrzeżu. Obozy tygodnika „ITD” dla studenckich dziennikarzy w Soczewce. Tam uzupełniało się artystyczną edukację, zawierało pokoleniowe przyjaźnie i czerpało wiedzę o Polsce nieobecną w oficjalnych obiegach.

W stan wojenny wkroczyłem jako 35-letni elekcyjny (solidarnościowy) naczelny „Politechnika”, z tomikiem młodokulturowych i filmowych felietonów oraz cienką para-orwellowską powieścią. W jedną grudniową noc straciłem pismo, perspektywę i dużo kontaktów – jasne było, że na odrodzenie ruchu w poprzedniej formie władza nie pozwoli. Wyglądało to na totalny krach, a stałem na progu największej i najdłuższej trwającej przygody życia. Nie tylko swojej.

★  
Andrzej Wójcik i Tadek Markowski, założyciele „Fantastyki”, musieli mnie namawiać. Naczelny tygodnika miałby wziąć dział polski w miesięczniku? Co za upadek! Trochę znałem młodą prozę, bo drukowałem ją w „Razem” – żadnych sensacji. Wójcik, na którym wielu wieszca dziś psy, a który to wszystko rozkręcał, podrzucił mi kilkadziesiąt stron ze „Spotkań w przestworzach” zestawianych dla KAW. W październiku poszły wybrane stamtąd „Co większe muchy” Krzysztofa Lipki i „Zabawa w strzelanego” Andrzeja Drzewińskiego. Do numeru listopadowego wzięłem „Zakład zamknięty” Andrzeja Ziemiańskiego, ale to jeszcze nie była „Bomba Heisenberga”. „Pi = 3,13” Andrzeja Zimniaka nie kupiłem, błędnie uznając tekst za beznamietną fizyczno-chemiczną igraszkę, a chodziło o metaforę świata, który trzeszczy w szwach.

Mój ówczesny świat też wyszedł z formy. „Politechnika” nie odwieszano. Fantaści, do których dotarłem (Snerg, Boruń, Sawaszkiewicz) nie mieli nowych tekstów, miniaturę Zajdla zdjęli ze strachu koledecy, bo Janusz przedrzeźniał stan wojenny. Druk gotowych socjologicznych powieści (Zajdla, Oramusa, Żwikiewicza) wydawał się zagrożony. Proza z poczty była niedobra, ale już w pierwszym numerze poszedł anons konkursu na opowiadanie. Bardzo dobry pomysł, choć nie mój, jak wiele innych. AD 1982 wierzyłem w zawodowców, bo pierwsze teksty z konkursu traktowały o robotach, śrubkach, sprzężnikach.

★  
Dopiero po roku powiedziałem żonie, że chyba lubię to, co robię. Kończyliśmy z Rodkiem i Polchem pierwszego „Funky'ego Kowala” – nam się podobał, czytelnicy zaskoczyli od połowy. Przedstawiłem w wywiadach dziesiątkę wydawców – opowiadali o stanie fantastyki i filozofii

gatunku, ale znów to nie ja wymyśliłem ten cykl. Zaczęłem od osób, które tworząc serie SF nadali gatunkowi kulturową rangę. Od Ewy Troszczyńskiej z Naszej Księgarni, potem Lech Jęczynek z Iskier i Czytelnika, Broniek Kledzik z Wydawnictwa Poznańskiego, Janina Zielonko z Iskier, Andrzej Wójcik z KAW, Katarzyna Krzemuska z Wydawnictwa Literackiego, Maria Przybyłowska z PIW, Adam Kaska z MON... Zbigniew Przyrowski, wielki promotor SF z „Młodego Technika” wystąpił na spotkaniu z „NF” w Mazowieckim Centrum Kultury dopiero w trzecim tysiącleciu.

Szybko zjawili się następne literackie asy. Andrzej Zimniak, Marek Baraniecki, Emma Popik, Krzysiek Kochański, Jacek Piekara. W konkursowej poczcie czekał się Feliks W. Kres. W 1984 roku miał się odezwać Oramus i pojawić shorty Ziemiańskiego. Oramus, Baraniecki, Zimniak też byli z „Politechnika”, w tej samej paczce tkwił Mirek Kowalski, spiskował w Nowej, zatrudnił się w Iskrach (a w 1991 wytypował jako wydawca AS-a). W 1986 w konkursie „Fantastyki” wybuchły gwiazdy Sapkowskiego i Huberatha, jesienią 1989 poczta przyniosła „Złotą Galerię” Dukaja.

Dużo dobrej fantastyki światowej ściągnął Rodek, później Jęczynek, a już za wolności Dorota Malinowska. Pomagali im, bądź kierowali działem zagranicznym: Wiktor Małski, Darek Toruń, Sławek Kędziński, Arek Nakoniecznik, Danusia Górka, Anna Dorota Kamińska, Paweł Ziemiański.

Marcina Zwierzchowskiego nie było wtedy na świecie.

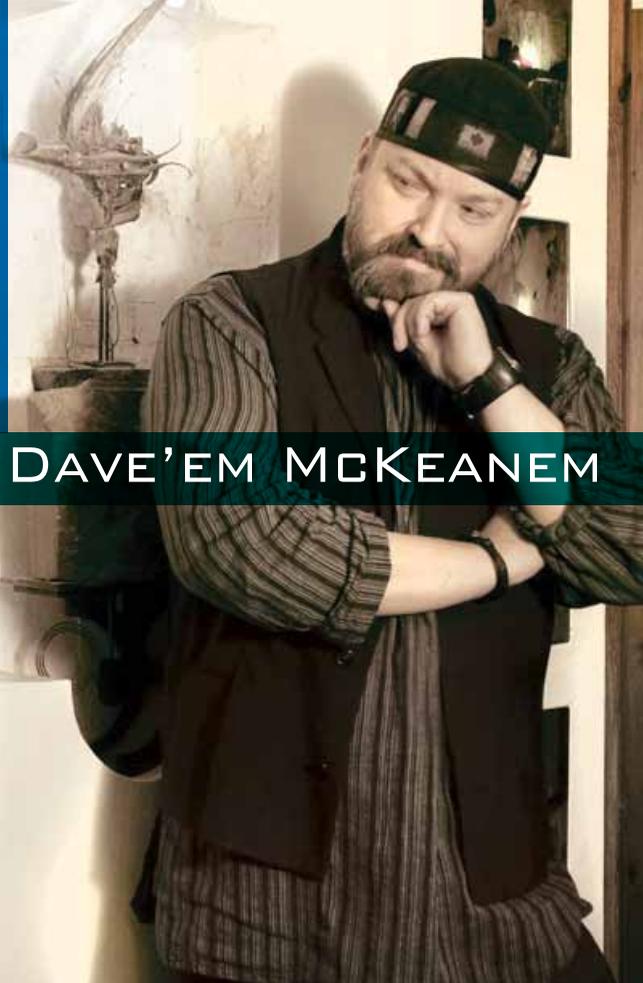
★  
Młodzi autorzy wyobrażają sobie kierownika działu prozy jako kapryśnego demiurga i przypisują mu władzę nadludzką. Takie to władanie jak meteorologa nad chmurami i piorunami.

# KOMIKS PRZEŻYWA ZŁOTĄ ERĘ

## ROZMOWA Z DAVE'EM MCKEANEM

MICHAŁ CHUDOLIŃSKI

**DAVE MCKEAN** (UR. 1963) – ZNANY GŁÓWNIEM JAKO ILUSTRATOR, RYSOWNIK KOMIKSÓW ORAZ PROJEKTANT OKŁADEK, BIEGŁY W RÓŻNYCH TECHNIKACH I FORMACH TWÓRCZYCH. MIĘDZYNARODOWĄ SŁAWĘ ZYSKAŁ DZIĘKI OKŁADKOM DO KOMIKSOWEJ SERII „SANDMAN” Z DC COMICS VERTIGO, PÓŹNIEJSZYM PROJEKTEM Z NEILEM GAIMANEM ORAZ ILUSTRACJOM DO KOMIKSU „AZYL ARKHAM: POWAŻNY DOM NA POWAŻNEJ ZIEMI” GRANTA MORRISONA. OBECNIE PRACUJE NAD ZBIOREM KRÓTKICH HISTORII P.T. „EXHIBITIONS” DLA DARK HORSE COMICS ORAZ POWIEŚCIĄ GRAFICZNĄ „CALIGARO”. NIEDAWNO NAKŁADEM WYDAWNICTWA EGDMONT OPUBLIKOWANO JEGO KOMIKSOWĄ ANTOLOGIĘ „PICTURES THAT TICK”.



**Michał Chudoliński:** Krążą słuchy, że nie lubisz być nazywany artystą.

**Dave McKean:** Zgadza się. Nie przepadam za tym określeniem i staram się od niego dystansować. Kompletnie nie wiem, o co w nim chodzi. Mam z tym problem, bo nie mam substytutu. Zazdroścuję trochę w tej mierze Włochom, którzy w swoim języku posiadają określenie *creativo*. O takim Pasolinim albo Fellinim nie mówią per „artysta”, dla nich to są *creativo*. Swoją drogą, skoro o tym rozmawiamy, może w polskim języku jest ciekawe określenie na twórców?

**MCh:** Obawiam się, że nie wyróżniamy się tu niczym wyjątkowym. Zazwyczaj mówimy artysta lub twórca, ewentualnie wyszczególniamy profesje.

**DMcK:** Szkoda, że tak robicie. Uważam to za błąd. Nadawanie etykiet spłaszcza i ogranicza. Niestety, tak to działa w relacjach towarzyskich, społecznych: jeżeli przedstawiasz siebie jako ilustratora, to z miejsca nie możesz być utożsamiany z rzemiosłem filmowym albo muzyką. Po co ustanawiać takie granice? Wolę się identyfikować z gawędziarzem, opowiadaczem historii mającym różne sposoby narracji do dyspozycji w celu ukazania potencjału

danej opowieści. Nie ma dla mnie znaczenia, jakiego medium używam. Ważna jest sama historia, jej clou, puenta. Część z nich jest lepiej wyrażana przez kinematografię, inne zaś ciekawiej prezentują się za pośrednictwem określonej muzyki. Są również takie, które lepiej docierają do odbiorcy przez kolaż fotografii albo narrację komiksową. Żeby mieć tego świadomość, trzeba znać odpowiednie techniki i metody opowiadania. Wtedy otwiera się przed tobą cała gama pomysłów i idei wartych rozważenia.

**MCh:** Musiało ci być zatem ciężko w szkole, gdzie hierarchizowanie i ustawianie w odpowiednich szeregach jest chlebem powszednim. Jak opisałbyś w tym kontekście swoje początki?

**DMcK:** Od zawsze chciałem opowiadać i tworzyć. Wszystko zaczęło się w dzieciństwie, kiedy matka kupowała mi komiksy. Byłem nimi absolutnie zauroczony. Z czasem przekonałem się, że ich magia polega na ograniczeniach formy – wiele w odczytaniu komiksu zależy od samego czytelnika. To on kontroluje akcję, jej tempo, poziom napięcia i innych emocji. W odróżnieniu od filmu, zawsze można wrócić do danej sceny i przeczytać ją na nowo. To medium dla świadomych, zaangażowanych w historię odbiorców. Stąd też, idąc do szkoły

artystycznej, myślałem jedynie o tworzeniu historii obrazkowych na moich zasadach. Wykładowcy jednak nie godzili się na to. Usilnie chcieli poszerzać moje horyzonty na inne aspekty sztuki, inne narzędzi i techniki. Jestem im jednak za to wdzięczny.

**MCh:** To w tamtym okresie zetknąłeś się z Neilem Gaimanem?

**DMcK:** Zgadza się. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie, gdy był młodym dziennikarzem, z całych sił pragnącym żyć z pisania komiksów na zasadzie „lubię to, co robię i zarabiam na tym pieniądze”. Był na tyle przebojowy i sprytny, że w niedługim czasie nawiązał kontakt z redaktorami DC Comics, którym opowiedział o swoich planach i ideach związanych z komiksami. Był to początek prac nad naszym pierwszym dziełem, znanym jako „Drastyczne przypadki”. Tak się rozpoczęła nasza wieloletnia przyjaźń.

**MCh:** Niektórzy kojarzą was najlepiej z „Koraliny” albo monumentalnej animacji „MirrorMask – Lustrzana Maska”. Moim zdaniem, najbardziej efektywną współpracę nawiązaliście przy „Sandmanie”. Jak wspominasz czas tworzenia okładek do tej serii?

**DMcK:** Sporo czasu minęło od czasu publikowania „Sandmana”, prawda? Dla

# CENĄ BĘDZIE SAMOTNOŚĆ

BERNADETA PRANDZIOCH

Julia wchodzi do pokoju, drzwi otwierają się z cichym skrzypieniem wysłużonych zawiasów. Popołudniowe słońce odbija się od ośnieżonych dachów i wdziera się przez okno.

Prababcia leży na metalowym, szpitalnym łóżku. Jej sylwetka wydaje się nikać pod białą pościelą, spiętrzoną niczym ośnieżone pagórki. Ściany, sufit, emaliowana szafka obok łóżka: wszystko jest nieskazitelne, pozbawione barw, jakby w szpitalu nie było miejsca na nic, co przypomina prawdziwe życie.

Na dźwięk kroków staruszka zwraca głowę w stronę drzwi, jednak nie spała.

– Franciszek... – rzezi z trudem.

Jakby tylko na niego czekała.

Julia siada w płaszczu na łóżku, ręce ma zajęte kwiatami i torebką, więc tylko całuje kobietę w oba pomarszczone policzki.

– Dzień dobry, babciu.

Zawsze tak do niej mówiła. „Prababciu” było zbyt długie dla kilkuletniej dziewczynki, więc zwracała się do niej po prostu „babciu”. I tak już pozostało.

Kobieta próbuje odpowiedzieć na jej powitanie, ale z płuc wydobywa się tylko świst powietrza.

– Nie męcz się, proszę – Julia uśmiecha się uspokajająco. – Opowiesz mi wszystko innym razem, co? Dzisiaj dla odmiany ja będę mówić.

Julia trochę żartuje, bo zawsze to ona właśnie mówi, prababcia woli milczeć. Niechętnie opowiada coś niepytana.

– Tylko daj mi się rozebrać – mówi Julia. – I wstawić kwiatki do wazonu. Podobają ci się? Nawet pachną, mimo że jest środek zimy. Mam nadzieję, że tak. Wiem, nie są tak piękne jak kwiaty z twojego ogrodu, ale chciałam ci przynieść trochę wiosny do tego cholernego, trupio białego pokoju. O, przepraszam. Nie słyszałaś tego!

Zdejmuje płaszcz, przerzuca go przez oparcie krzesła. Torebka obok. Kwiaty do słoika, pełniącego rolę wazonu. Julia siada na powrót na łóżku.

Chłodna dłoń prababci dotyka jej twarzy. Staruszka wpatruje się w nią z czułością. Julia domyśla się, kogo widzi. Tylko ona w całej rodzinie odziedziczyła po pradziadku zielone oczy. Tylko ona tak jest do niego podobna. A przynajmniej wszyscy tak mówią.

Naraz kobieta odwraca głowę, wzrokiem wskazuje na stojące na stoliku pudełko. Stare, blaszane, po kawie Francka. Odkąd Julia pamięta, prababcia zawsze stawiała je przy łóżku – i w Parczewie, i gdy na zimę przyjeżdżała do Katowic. Do szpitala także je zabrała.

Więc Julia podnosi pudełko ze stolika i otwiera. Nigdy wcześniej do niego nie zaglądała.

Na wierzchu czarno-biała fotografia pradziadka. Młody, postawny mężczyzna w białej koszuli i jasnych spodniach. Nie uśmiecha się. Stoi poważny i patrzy wprost w obiektyw. Jeszcze nie wie, co go czeka. Julia wie. Niewiele, wszyscy w rodzinie niechętnie o tym wspominają, ale przecież wie. Tylko raz dziadek opowiedział jej o tamtym grudniowym dniu w czterdziestym pierwszym. Miał wtedy osiem lat. Wszystko dokładnie zapamiętał. Żołnierzy wpadających na podwórze. Ciężkie buty i głębokie ślady na świeżym

śniegu. Krzyki. Słowa, których wówczas nie rozumiał. Wrzaski i poszturchiwania, kiedy wyganiał ich wszystkich z chaty. Matkę, która głośno protestowała, póki potężny gefrajter nie pchnął jej na ziemię. I śnieg, śnieg syjący nieprzerwanie, wdzierający się do oczu, osiadający na siostrzanych warkoczach, na ich chudych ramionach. Krzyki. Nie rozumiał ani jednego, wykrzykiwanego przez Niemców słowa. Zapamiętał za to przerażone, zapłakane siostry, które tuliły się do matki, drząc z zimna i ze strachu. Tylko on stał sam, nieruchomo. I kiedy opowiadał jej o tym, ponad pięćdziesiąt lat później, drżał tak samo.

Julia otrząsa się z zamyślenia, podaje zdjęcie prababci. Ale jej niepewna dłoń nie potrafi go utrzymać, niewielki prostokąt opada na łóżko. Kobieta nakrywa fotografię, gładzi delikatnie opuszkami zmęczonych palców. O czym myśli? Do jakich chwil powraca we wspomnieniach? Do początków?

Julia przypomina sobie, że jako kilkuletnia dziewczynka zamęczała prababcie pytaniami o dzień ślubu. To była dla niej wtedy najważniejsza sprawa. Nigdy jednak opowiadana przez prababcie historia jej nie zadowalała, bo ta uparcie powtarzała, że nic nie pamięta z kościelnej uroczystości. Że cały czas odmawiała w myślach pacierz, żeby się nie rozplakać, nie zemdleć, nie uciec. A kilkuletnia Julia chciała opowieści o sukience, gościach, życzeniach, tańcach, tylko nie o tych modlitwach klepanych w kółko.

Później przyszła codzienność, myśli Julia, wpatrując się w przysłoniętą palcami sylwetkę pradziadka. Rodziły się dzieci. A potem przyszła wojna. I zabrała pradziadka, a ona musiała sobie radzić sama, przez tyle lat. I radziła sobie. Wychowała dzieci, doczekała się wnuków i prawnuków. Tyle razy powtarzała im, że jest z nich dumna, jakby ze zdwojoną mocą: za siebie i za pradziadka.

Prababcia zasnęła, oddech się wyrównał, rżenie ustało. Julia chciała jej coś opowiedzieć, ale jeszcze zdąży. Nigdzie się nie śpieszy, poczeka.

Zagląda do pudełka, które nadal trzyma na kolanach. Pod kilka rodzinnymi fotografiami stosik papierów, wyjmuje je ostrożnie. Kartka z Auschwitz. Z marca czterdziestego drugiego. Krótkie, pisane jak pod dyktando zdania. Franciszek zapewnia, że u niego wszystko dobrze. Pyta o dzieci i gospodarstwo. Tyle rozumie, jej niemiecki nie jest zachwycający. Ale przekaz tego listu jest przecież tylko jeden: wciąż żyję.

Potem koperta. Październik czterdziestego drugiego. W środku akt zgonu i poszarpany dowód osobisty pozbawiony fotografii. Otwiera. Wzrost: średni. Twarz: pociągła. Oczy: zielone. Znaki szczególne: na prawym policzku szrama. Skąd ta blizna, tego Julia nie wie.

I jeszcze jeden list. Z grudniową datą. Ale jak to? Sprawdza jeszcze raz, nie pomyliła się. Drugi list, również opatrzony pieczęcią „Postzensurstelle K.L. Auschwitz. Geprüft” i podpisem cenzora, wysłany został dwa miesiące później niż akt zgonu. Dlaczego? Pradziadek napisał ten list jeszcze przed śmiercią, a tylko wysłany został z niewiadomych powodów później? A może ktoś go z obozu wywiózł i wysłał z opóźnieniem z innego miejsca, nie wiedząc, że

# NON SERVIAM

PAWEŁ CIEĆWIERZ

SANDRZE

*Znów mrok zapada; lecz teraz już wiem,  
Że dwadzieścia stuleci kamiennego snu  
Rozkołysała w koszmar dziecinna kolebka  
I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca  
Pełźnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić.  
W. B. Yeats w tłumaczeniu S. Barańczaka*

**Kiedy stali na wzgórzu tamtego dnia**, a wilgotny wiatr zawiewał im prosto w twarz okruciami lodu, na rdzawej, jałowej ziemi, z rafineriami na horyzoncie i bagiennymi rozlewiskami rzek, pod szarym niebem zaciągniętym jak całun nad zagubionym w syberyjskiej pustce miastem, zrozumieli, każdy na swój sposób, po co tu przybyli. Stali się jeźdźcami apokalipsy. Fanatyzm, rozpacz, chaos, kłamstwo. Żaden z nich nie potrafił wybaczyć ani sobie, ani innym, a mimo to stali tam ramię w ramię z wilgocią marznącą na policzkach i sercami zamienionymi w kamień. Nieuregulowane rachunki krzywd zbliżyły ich do siebie tak bardzo, jak tylko człowiek potrafi być blisko ze swymi wyrzutami sumienia. Przelecieli pół świata rezygnując ze wszystkiego za sobą i beznamyślnie rzucając życie na szalę, żeby poznać prawdę. I mimo, że ich pytania były zupełnie różne, szukali jednej odpowiedzi. Ten, który ją znał, był martwy od tak dawna, że jugryjska gleba zapomniała już smak jego krwi, ale wszyscy czworo wiedzieli, że to nie jest żadne usprawiedliwienie. Wejścia do podziemi bronili im rozkrzyczani, pijani ludzie. Wszyscy czworo wiedzieli, że to żadna przeszkoda.

**Z okien samolotu**, jak okiem sięgnąć, odległe, szklanobłękitne niebo i brunatna powierzchnia ziemi wyznaczały symboliczne ramy dla niemalże nieskończonej pustki. Skrzydła chwiały się na wietrze rozpedzonym setkami kilometrów otwartej przestrzeni. Leniwe rozlewiska rzek z tej wysokości wyglądały jak sine pręgi na ciele planety. Żadnego miasta, nigdzie w zasięgu wzroku. Krople wody na szybie zamarały natychmiast, kiedy tylko słońce schowało się za chmury. Polecono mi, żebym spakował do plecaka coś ciepłego – amplituda temperatur w ciągu dnia sięgała czasem czterdziestu kresek. Wychodzisz z hotelu zimą, wracasz latem. W ciągu jednego tygodnia przyjazne piętnaście stopni może się przerodzić w pięćdziesiąt poniżej zera. Jak nie oszaleć w takich warunkach? Miejscowi nie wiedzieli.

Nigdy nie przyjechałbym tutaj z własnej woli. Były piękniejsze i cieplejsze miejsca na ziemi, do których można zwać. Tyle, że moja patologiczna księżniczka zatroszczyła się już o to, żebym nie miał czasu na ucieczkę. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiła. To znaczy, wiem dobrze, dlaczego odeszła. Kłóciliśmy się prawie codziennie, potem godziliśmy się w łóżku i gadaliśmy o wszystkim, piliśmy wino, paliliśmy skręty nie

ubierając się przez cały dzień, a potem znowu pojawiał się jakiś powód do kłótni. Sytuacji nie poprawił fakt, że moje szpitalne kłamstwo wreszcie wyszło na jaw. Vigil dowiedziała się, że nie umieram i z jakiegoś dziwnego powodu miała mi to za złe. Musiałbyś ją znać, żeby zrozumieć. Sądzę, że jej specyficzne uczucie do mnie doprowadziło do tego, co się stało na końcu. Wiedziała, że trudno jej być ze mną, a zostawiając mnie skazuje się na tęsknotę, bo była zaborcza, a może po prostu trochę mnie kochała. Dlatego zaraz po wyjściu z hotelu, kiedy ja spałem głęboko obok zasypianego zielem nocnego stolika, Vigil zadzwoniła na milicję. Tęsknota za skazańcem jest wznioślejsza od tęsknoty za byłym facetem, który na przeróżne sposoby odreagowuje rozstanie. Doniosła na mnie, żeby przypieczętować swoją decyzję. Potem zniknęła z mojego życia. Tym razem po raz ostatni.

Słoneczny blask osiadł na czymś szklanym i sztucznym. Błyszcząca struktura zbliżała się do nas i rosła, kiedy podchodziliśmy do lądowania. Zdawało się, jakby to rozmyta plama światła czołgała się ku nam przez połacie tajgi. Struktura nabrała kształtów – lustrzanych krawędzi, stalowych łuków, pośród których czasem pojawiały się cerkiewne wieże. Stosik nowiutkich klocków zgubionych w bezkresnej i wilgotnej piaskownicy. W marznącej mżawce podchodziliśmy do lądowania.

**Pierwszy jeździec przybył do Jugry wojskowym samolotem**, którego obsługa nie miała o niczym pojęcia. Mogli się tylko cieszyć, że ktoś taki wynosi się z kraju. Bo pierwszy jeździec nie robił zbyt dobrego wrażenia na ludziach. Jego okaleczona, jednooka twarz powodowała, że rozmówcy opuszczali wzrok, a gęsta zawiesina smrodu i magii towarzyszyła mu wszędzie. Był tylko człowiekiem, więc musiał czasem czuć się z tym źle, musiał czasem czuć się samotny. Mimo to wierzył, że jego ofiara nie poszła na marne.

Drugi jeździec był mistrzem przemocy. Przybył razem z pierwszym, ale był inny. Drugi jeździec nie ukrywał swojego cierpienia, obnosił się z krwawiącym sercem jak z tarczą, która gwarantowała, że świat nie jest już w stanie niczego gorszego mu uczynić. Dlatego wciąż na nowo rozdrapywał swoje rany. Być może był to całkiem niezły sposób na egzystencję, ale chyba nie na życie.

Trzeci jeździec był kobietą i nigdy nie znalazłby się na tym zapomnianym krańcu świata, gdyby nie dysponował mocą równą mocy pierwszego. Konkurowali ze sobą od zawsze, tak jak na świecie konkuruje porządek z chaosem, tyle że w ich przypadku szala zwycięstwa nie przechylała się na żadną ze stron. Tym razem sprawa była zbyt poważna, więc zanosilo się na trudny sojusz po wielu bitwach, w których ani ona, ani on nie zdobyli przewagi. Może po wielu latach rywalizacji i nienawiści inaczej już nie potrafili? Może byli dla siebie stworzeni?

Czwarty jeździec miał po prostu pecha.

# RZEŹBIARZE ŚWIATŁA

MACIEJ MUSIALIK

Kobieta przytrzymała Olafowi drzwi windy, widząc go kroczącego pospiesznie w głębi korytarza. Wskoczył do kabiny uważając, by niechcący nie przyłożyć współpasażerke pękata, skórzaną teczką.

– Dzięki – wysapał.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Drobiazg.

– Na parter? – spytał Olaf, widząc, że żaden z guzików na panelu kontrolnym jeszcze się nie świeci.

– Tak.

Wdusił zero i z ulgą oparł się plecami o stalową ścianę. Drzwi się zamknęły i winda ruszyła. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że w powietrzu unosi się zapach perfum młodej kobiety. Korzenny i słodki. Podobał mu się. Kątem oka zerknął ponownie na sąsiadkę. Nie miała jeszcze trzydziestki. Nosiła oficjalny, dopasowany kostium, nadający jej wygląd klasycznej businesswoman, ale w zielonych oczach czaiło się coś figlarnego. Podchwyciła jego spojrzenie i ponownie się uśmiechnęła, tym razem zrobiła to jednak przelotnie, od razu przenosząc wzrok gdzieś obok.

*Nie gap się, bo wyjdiesz na zbrojeńca* – w myślach skarcił się Olaf.

Wtem winda szarpnęła i zamarła w bezruchu. Światło na suficie zamrugało, po czym zgasło, pograżając kabinę w kompletnych ciemnościach.

Gwałtowne hamowanie podcięło nogi dwojce pasażerów. Olaf zachwiał się i wpadł na kobietę, potracając ją ramieniem.

– Uch, przepraszam – wymamrotał, rozpaczliwie, próbując znaleźć oparcie dla rąk. Towarzyszka krzyknęła, nie wiadomo, czy bardziej przestraszona zderzeniem, czy awarią. Dopiero po chwili dobiegł z ciemności jej głos.

– Boże, jak się złękłam. Winda się zepsuła?

– Na to wygląda.

– Co za szmelc. Na którym piętrze jesteśmy?

– Gdzieś między czwartym, a trzecim. Cholera, wiedziałem, że lepiej iść schodami. Już myślałem, że wreszcie ktoś naprawił tę puszkę, a tu taki numer. W tej ruderze zawsze wszystko się sypie..

Biurowiec, w którym się znajdowali lata świetności miał już dawno za sobą. Od kiedy większość inwestycji przeniosła się z tej podłej dzielnicy bliżej centrum miasta, w budynku zagnieździło się kilka podupadających firm, które w niskim czynszu upatrywały sposobu na wyjście z tarapatów. Było ich jednak zbyt niewiele, by komukolwiek zależało na odnowieniu starego, dziesięciopiętrowego molocha. Większość pomieszczeń i tak zarastała tu kurzem i pajęczynami. Ilekroć Olaf

tu bywał, zawsze zastanawiał się jak, u diabła, można próbować rozkręcać interes w miejscu nadającym się co najwyżej na gigantyczną melinę.

Teraz miał jednak na głowie inny problem.

Odstawił teczkę na ziemię, wymacał w kieszeni zapalniczkę i po chwili wewnątrz windy rozświetlił słaby, chybotliwy płomień. Olaf odnalazł na panelu przycisk alarmu i wcisnął go. Spodziewał się syreny, dzwonka, lub jakiegokolwiek dźwięku, ale wciąż panowała dudniąca, blaszana cisza.

– Zepsuty? – spytała kobieta.

– A bo ja wiem? Może gdzieś u dozorczy zapaliła się lampka na biurku?

– Oby to wystarczyło. Nie mam zamiaru czekać tu przez resztę dnia.

– Ani ja – odparł Olaf, przyglądając się uważnie drzwiom windy. Te jednak nie były rozsuwane, lecz otwierane na zewnątrz. A to oznaczało, że choćby zaprzęcając do roboty ciągnik, nie drgną, dopóki klatka tkwi na półpiętrze. Kilka razy gruchnął w nie pięścią wołając o pomoc, lecz wzbudził taki rezonans, jakby lina miała się urwać, a winda runąć dół. Z kolei w podłodze, ani w suficie nie było widać nawet zarysu kłapy. Podzielił się tym spostrzeżeniem ze współpasażerką.

– Czyli co? – zachichotała histerycznie. – Siedzimy w tej puszcze, dopóki ktoś nie będzie próbował wjechać na górę i nie połapie się, że coś jest nie tak?

– Mniej więcej – zgodził się Olaf. Nie miał serca mówić kobiecie, że w budynku jest tak mało interesantów, iż prawdopodobnie będą musieli zaczekać, aż ktoś zamknie biuro i będzie próbował wrócić do domu. A to nastąpi najwcześniej za pięć godzin.

*Oby starczyło powietrza* – pomyślał, dla pewności wciskając jeszcze kilkakrotnie guzik alarmu. Z identycznym jak poprzednio, skutkiem.

– Zakładam, że komórka nie będzie tu działać – westchnęła kobieta, mieszając dłonią w niewielkiej torebce. Odnalazła telefon, przez chwilę machała nim w powietrzu w poszukiwaniu sygnału, po czym zrezygnowana wetknęła go z powrotem.

– Klatka Faradaya – pokiwał głową Olaf.

– Ja jestem Karin, miło mi – niespodziewanie wyciągnęła rękę. Najpierw zdębiał, potem nieśmiało uścisnął jej dłoń, a potem oboje wybuchli śmiechem.

Olaf wykrztusił swoje własne imię, z trudem panując nad nagłą wesołością. Łzy pociekły mu po policzkach. W tym nagłym wybuchu uszło z ich obojga całe napięcie.

– Przez chwilę myślałem, że mówisz poważnie.

# LWIĄTKO HERAKLESA

MACIEJ SALAMOŃCZYK

Żydów przez Morze Czerwone, rekonfiguracyjne bojowe softboty i zbudowane z metamateriałów oraz tworzyw przekształcających promieniowanie podczerwone roboty juczne Big Dog 2.

Podszedł do tygrysa. Za każdym razem, gdy spotykał to zwierzę było inaczej ubarwione. Naciął delikatnie skórę. Musiał się spieszyć, póki światło zachodzącego Słońca pozwalało na pracę. Jakby przeciął worek z błękitnymi świetlikami. Piękne niebieskie iskry „chodziły” po ciele zwierzęcia. Tajwańczyk zamknął oczy, poczuł że kręci mu się w głowie. Zaczęła go palić skóra. Od lat cierpiał na jagodnicę. Kuru i cholera go nie przerażały. Jagodzica tak.

Ocknął się, gdy była już głęboka noc. Gwiazdy rozmieszczone poza krawędzią dachu nakrapiały niebo. „Koliberki” furkotały wokół platformy. Co dziwne, skóra go już nie bolała. Obmacał swoje ciało wyczuwając coś na kształt sierści, sięgającej połowy tułowia. Wpatrywał się w niebo szukając Krzyża Południa, Scutum (choć to chyba nie ta półkula) i Cruithne – drugiego księżycza Ziemi, z mizernym skutkiem. Nie dostrzegł Róży w gwiazdozbiornie Jednorożca. Szukał różnych asteryzmów i części czegoś co dawniej stanowiło większą całość – Kilu, Żagla i Ruffy. Nękały go paszczaki oraz émy z rodzaju Coscinocera. Odwinął skórę z głowy i na chwilę włączył lampy zamontowane w kasku. Światło mogło przyciągnąć obcych, więc wyłączył je niemal natychmiast.



Pierwsze opisy „tygrysa” z australijskiego półwyspu York pojawiły się w latach 70-tych XIX wieku, gdy dotarli tam osadnicy. Według opisów zwierzę było znacznych rozmiarów – wysokości 50 – 70 centymetrów, długości ciała do 1,5 metra plus ogon. Uszy odstające jak u rysia, rodzaj wibrysów w pyszczku, żółtawa sierść z rzadkimi czarnymi pręgami na grzbiecie dopełniały wizerunku. Zauważony miał zwyczaj przypłaszczać się do ziemi. Wydawał głuchy ryk, obnażał zębiska, bił ogonem o ziemię jak kot, chociaż nos miał bardziej wysunięty do przodu niż kotowate. Niektórzy porównywali go do madagaskarskiej fossy. Uważano, że jest torbaczem, dla którego York i sąsiednia Nowa Gwinea stanowiły refugium – ostatnie miejsce schronienia. Obdarzony dużymi łapami, puszystym ogonem z kitą i dzikim temperamentem wywoływał dreszczyk emocji u mieszkańców półwyspu.

Podczas II wojny światowej widywano takie zwierzę w trakcie walk o Buna Gona na Nowej Gwinei. A po wojnie, co dziwne w rejonie Brisbane koło miast Gympie i Maryborough, wzdłuż rzeki Mary. Nazywano go „duchem Sahulu”, „zjawą z Buna Gona”, tubylczym określeniem yarri czy też „zmorą Leichhardta”, gdyż niektórzy uważali, że odpowiada za zaginięcie tego poszukiwacza przygód. Nigdy nie dostarczono jego ciała, choć widywano też zabite zwierzę.

Od dawna krążyły również pogłoski, że tygrys workowaty z australijskiego półwyspu York i Nowej Gwinei to Thylacoleo z terenów dawnego Sahulu. Choć jak do tej pory były przedmiotem badań kryptozoologów, których fascynowały tego rodzaju zwierzęta nazywane kryptydami. Według zaś naukowców, na podstawie zachowanych szkieletów tego dawnego drapieżnika – znalezionych w jaskiniach Naracoorte i wapiennych zapadliskach Nullarbor domniemany przodek tygrysa z York – Thylacoleo carnifex był dużym torbaczem, nieco mniejszym od lwa, zbliżonym wielkością, a zapewne i trybem życia do lamparta, znacznie jednak od niego cięższym, gdyż mógł ważyć nawet 160 kilogramów, podczas gdy lampart nie przekraczał setki.

Co ciekawe, był wyposażony w trzecią nogę – kilkudziesięciocentymetrowy ogon, na którym w walce mógł się podparć niczym kangury. Miał być typowym przykładem ewolucji zbieżnej. Workowatym odpowiednikiem dużego drapieżnego kota. Nie miał kłów, a zamiast nich wielkie rozbudowane siekacze. W górnej szczęce karbowane. Natomiast jedne z przedtrzonowców przekształciły się w długie łamiąco-krojące zęby policzkowe, działające niczym nożyce. Posiadał też silnie umięśnione łapy, które naukowcy nazywali wręcz rękami, ze względu na częściowo przeciwstawny kciuk. Łapy wyposażone w wielkie chowane szpony, służące do chwytania i wypruwania wnętrzości ofiarom. Był wyspecjalizowanym agresorem, o najpotężniejszym spośród wszystkich znanych ssaków drapieżnych uścisku szczęk. Niektórzy naukowcy sądzili, że w starciu z Thylacoleo współczesny lew czy tygrys nie miałby szans i torbacz by je zmasakrował.

Wśród jego krewnych wymieniano pałanki, koala, wombaty a nawet oposy karłowate – drzewnice. Tak jak one był torbaczem i należał do rzędu Diprotodontia – dwuprzodźbowców. Większość badaczy jednak sądziła, że tygrys z York, jest egzemplarzem zdziczałej pumy lub nawet jaguarundi przywiezionych tu przez żołnierzy amerykańskich podczas II wojny światowej, a wcześniejsze spostrzeżenia odnosiły się do miejscowych dobrze znanych torbaczy. Albo też co bardziej prawdopodobne jakąś odmianą pięknej pantery mglistej lub też pantery borneańskiej przywleconą z sąsiedniej Indonezji, kotem marmurkowym, wyrodniałym okazem niełaza wielkiego, formą rzadko spotykanego kota jak badia. Słowem nie miano zielonego pojęcia czym jest duch z Yorku. Nie wszyscy jednak sądzili, że historia z tygrysem workowatym zakończy się jak z Rickmatem, gdy Big Foot okazał się zamrożoną kukłą.



Finees pamiętał, że burty okrętu zdobiły rzeźbione głowy mithunów. Jaycco Lootey właściciel wielkiego rotorowca

# JESTEŚ TUTAJ?

*(Are You There)*

## JACK SKILLINGSTEAD

myśląc o niczym szczególnym. Było cicho i spokojnie, przynajmniej na tyle, na ile bywa w tej dzielnicy. Jego była żona, zamieszkująca parter ich wąskiego „gniazdka”, powinna za chwilę się obudzić. Czasem, widząc światło w oknach lub słysząc nad głową odgłos jego szurania po nieprzespanej nocy, podchodziła do zamkniętych na zasuwę drzwi, rozdzielających dom na połowy i próbowała z nim rozmawiać. Nie nawidził tego. W myślach traktował Barbarę jako byłą żonę, choć tak naprawdę nigdy się oficjalnie nie rozwiedli. Rozwód, zgodnie z postanowieniami prawa mieszkaniowego, zmusiłby ich do opuszczenia tego względnie przestronnego domu, w którym mogli mieszkać tylko jako małżeństwo. Prawda (a przynajmniej to, co Deatry dopuszczał do siebie jako prawdę) była taka, że oboje o wiele bardziej kochali ten dom niż siebie nawzajem. Prawo mieszkaniowe było jednym z wielu narzędzi, mających na celu zachęcanie ludzi do kontynuowania uświęconej tradycji zawierania związków małżeńskich. W czasie pierwszego małżeństwa Deatry nie musiał się przejmować tym prawem, ponieważ jeszcze wtedy nie obowiązywało, więc jego uświęcony związek rozleciał się w diabły w jak najbardziej tradycyjny sposób.

Zgasił lampkę i rozwinął elektroniczny zwój Apple VI, włączając zasilanie. White Echo już na niego czekała.

– Hej – wystukał na powitanie.  
 – Prawie zasnęłam – jej odpowiedź pojawiła się błyskawicznie, jak zawsze.  
 – W porządku, wiem, że jest późno. Chciałem się tylko przywitać.  
 – Co właśnie zrobiłeś. Ale nie odchodź jeszcze... Cały dzień za tobą tęskniłam.

– Też za tobą tęskniłem – odpisał zgodnie z prawdą. Z drugiej strony jednak cieszyło go to, że White Echo, czyli Kimberly nie mogła się w tej chwili wspiąć po schodach i zapukać do jego drzwi.

– Wszystko w porządku? – zapytała.  
 – Wręcz cudownie. Farkas oberwał. Pociął go facet, którego śledziliśmy i przynajmniej częściowo stało się to z mojej winy.

– Jak to z twojej winy?  
 Opisał jej pokrótce wydarzenia w kamienicy.  
 – Wcale mi się nie wydaje, żeby to była twoja wina – stwierdziła Kimberly.

– Pilnowałem drzwi. Musiałem stać zbyt długo i Rzeźnik coś wyczuł. Zresztą nieważne, powiedz lepiej, jak minął ci dzień?

– Zachwycająco i samotnie.  
 – Na tym polega życie w wielkim mieście. Zawsze jest samotne. O zachwyty trochę trudniej, ale ty masz do tego talent.

Milczała tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy nie zerwało im połączenia.

– Wcale NIE MUSI być samotne – odpisała w końcu.  
 Palce Deatry’ego zawisły nad klawiaturą jak kolibry drżące w oczekiwaniu na kwiatowy nektar. Nie chciał się znów pakować w taką sytuację.

– Brian?  
 – Przepraszam – wystukał po odczekaniu jeszcze kilku sekund.  
 – Barbara kręci się pod drzwiami. Niech to szlag.

– Udawaj, że cię nie ma.

– Nie mogę. Nie spała już, kiedy wróciłem. Widziałem zapalone światła. Musiała mnie słyszeć.

Prawdziwy Król Kłamstw, wirujących nad jego głową niczym paskudne odpryski osobowości.

– W porządku – odpowiedziała Kimberly.

– Strasznie mi przykro.

– Nic się nie stało. – Chwila ciszy, a później: – I tak miałam się już położyć. Sama, jak zawsze.

Zazwyczaj potrafił poprawić jej nastrój, ale tego ranka był zbyt zmęczony.

– NAPRAWDĘ mi przykro – odpisał ze świadomością, że mógłby się bardziej postarać. – Muszę już lecieć. Branoc.

Westchnął ciężko, wyłączając zwój i wsuwając go z powrotem do tuby. Wtedy bóg spletał mu paskudnego figła. Ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Chwilę później stukanie stało się bardziej natarczywe.

– Brian? Zrobiłam kawę – usłyszał głos Barbary.

Odwrocił się na krześle i zmierzył drzwi zmęczonym spojrzeniem. Czekał w milczeniu, wyobrażając sobie Barbarę stojącą po drugiej stronie. Nie zapukała po raz trzeci. Po paru sekundach usłyszał odgłos kroków oddalających się po schodach.



To mieszkańcy składali się na pensje Deatry’ego i Farkasa, pracujących w charakterze parapolicejantów patrolujących ponurą dzielnicę konurbacji Seattle-Tacoma. Oczywiście wcale nie musieli im płacić, to w końcu wolny kraj. A paradetektywi wcale nie musieli się przejmować tym, co się dzieje w niepłacących enklawach, chociaż Deatry nigdy ich nie ignorował i nie miał zamiaru tego robić. Prawdziwa policja opiekowała się lepszymi dzielnicami i musiała uważać na terrorystów, co pochłaniało cały jej budżet.

Deatry wśliznął się do laboratorium kryminalistycznego na prawdziwym posterunku policji, gdzie wciąż miał kilku znajomych z dawnych czasów. Pokazał czarny moduł Stuhringowi, przypominającemu z wyglądu krzyżówkę jaja na twardo z sępem ubranym w biały fartuch.

– To Umiłowany – wyjaśnił technik. W umyśle Deatry’ego pojawiło się jakieś dawno zapomniane skojarzenie.

– Pamięć zmarłego?

– Tak. Gość musi być umierający, ale powinien jeszcze kojarzyć i wykazywać się wolną wolą. Wtedy go podpinają i kopiąją wzorzec śladów pamięciowych na jedno z tych urządzeń. Kończy się to usmażeniem mózgu, no ale facet i tak już jest skazany na śmierć, więc to nie problem. Po wszystkim znów możesz rozmawiać ze swoim drogim, ukochanym wujaszkiem, a on będzie ci odpowiadał jak oryginał. Zabawki dla klasy średniej. Przez chwilę były modne, potem jednak ludzie uznali, że są raczej odrażające, więc przestali je kupować.

# DZIESIĄTA MUZA

(The Tenth Muse)

TAD WILLIAMS

Kiedy poznałem Balcescu, nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia. Uznałem go za snoba, do tego bardzo zadufanego w sobie. Miałem rację. Do szalu doprowadzało mnie choćby to, że mówił jak George Sanders, z wykwintnym sznytem, ale ani przez chwilę nie wierzyłem, że wie, kim był George Sanders. Stare filmy z Ziemi były dla niego czymś zbyt pospolitym.

Uwielbiał też słuchać własnego głosu, niezależnie od tego, czy rozmówca miał czas go słuchać.

– Tu pan jest, panie Jatt – powiedział któregoś dnia, zatrzymując mnie na pokładzie obserwacyjnym. – Szukałem pana. Mam pytanie.

Westchnąłem, ale niezbyt ostentacyjnie.

– W czym mogę panu pomóc, panie Balcescu?

Jakbym na dwanaście godzin przed Węzłem Rainwater nie miał nic lepszego do roboty, niż odpowiadać na pytania fotelika. Przepraszam, tak czasami nazywamy pasażerów. To nieładnie, wiem. Ale nie znoszę, kiedy ludziom się wydaje, że to jakiś rejs wycieczkowy, i że tylko dlatego, że mam metr dwadzieścia wzrostu i nie przeszedłem jeszcze mutacji głosu, mogę im przynieść miękką poduszkę albo wysłuchiwać opowieści o tym, co będą robić po wylądowaniu. Wielu cywilów nie rozumie, że to Statek Konfederacji „Lakshmi”, a kiedy jesteś na moim statku, nie ma żartów. Chłopiec pokładowy jest członkiem załogi takim samym jak wszyscy inni i mam swoje obowiązki. Zapytajcie kapitan Watanabe, jeśli mi nie wierzycie.

Ten cały Balcescu był dość dziwny – stary i młody jednocześnie, jeśli wiecie, co mam na myśli. Nie wypadły mu jeszcze włosy i nie był zanadto pomarszczony, ale miał wychudzoną twarz, a całą resztę też niezbyt krzepką. Nie mógł być o wiele starszy niż mój kumpel Pim, co dawałoby mu trzydzieści parę lat, może czterdzieści, ubierał się jednak jak starzec albo jak ktoś ze starego filmu – wiecie, te starożytne filmy z Ziemi, gdzie ludzie noszą marynarki z łakami na łokciach, luźne spodnie i te zwisające coś na szyi. Właśnie, krawaty. Tak się ubierał – oczywiście bez krawata. Nie był wariatem, uważał się po prostu za lepszego niż wszyscy inni. Dawał do zrozumienia, że choć był jakimś specjalistą od języka, czuł się artystą. To nie była kwestia tylko ubrań – można było wysnuć taki wniosek także z tego, co mówił, jakiej słuchał muzyki. Parę razy słyszałem ją dobiegającą z jego kajuty – skrzek przypominający marcujące koty, trzaski, jakby ktoś tłukł w ukulele francuskim kluczem. Innymi słowy, rzecz dla ludzi o wyrobionym smaku.

– Nie sposób nie zauważyć, panie Jatt, że wokół naszego najbliższego przystanku robi się bardzo dużo szumu – powiedział, kiedy zatrzymał mnie na pokładzie. – Ja jednak minąłem cztery pierścienie Vissera, lecąc na Gwiazdę Brightmana, i nikt nie robił z tego zamieszania. Skąd tyle hałasu wokół tego... jak to się nazywa?

– Na Węzeł Rainwater mówi się „Wodopój” – odparłem. – Może panu się wydaje, że robimy zamieszanie, ale to śmiertelnie poważna sprawa, panie Balcescu.

– Mów mi Stefan, młody przyjacielu, tak będzie prościej. A ja będę ci mówił Rolly; słyszałem, że inni tak cię nazywają.

– Nie mogę, proszę pana. Regulamin nie pozwala.

– Dobrze. W takim razie co powiesz na to? Nazywaj mnie jakoś zabawnie, na przykład „Pan B”...

Omali nie skrzywiłem się ze zgrozą, ale główny steward zawsze powtarza, że sygnalizowanie komuś zniecierpliwienia jest tak samo nieuprzejme, jak komunikowanie go wprost.

– Jeśli pan pozwoli, będę się do pana zwracał dalej „panie Balcescu”. Tak jest dla mnie łatwiej.

– Niech panu będzie, panie Jatt. Dlaczego więc ten Węzeł Rainwater to taka poważna sprawa?

Wyjaśniłem najlepiej, jak umiałem. Szczerze mówiąc, sam nie rozumiem wszystkich tych politycznych i historycznych zawiłości – to nie należy do naszych obowiązków. Jak to się często mówi wśród nas, załogantów – my tylko latamy. Ale oto, co wiem.

Kiedy Balcescu mówił, że leciał do Gwiazdy Brightmana i nikt nie robił zamieszania wokół czasoprzestrzennych tuneli, miał rację, ale to dlatego, że wyruszył z układu Wagi i całą podróż odbył przez obszar Konfederacji. Wszystkie pierścienie Vissera, które mijał, były konfederacyjne. Kiedy jednak wsiadł na „Lak”, żeby przelecieć z nami z układu Brightmana do Col Hydrae, cóż – taka wyprawa wymaga skoku przez przestrzeń niekonfederacyjną. Skoku, który właśnie mieliśmy wykonać.

Nie koniec na tym – z jakiegoś powodu, którego nie umiem wyjaśnić nawet doktor Swainsea, pierścień Vissera w Rainwaterze jest dziwny – a raczej taki jest leżący za nim tunel. Czasami trzeba trochę poczekać, aż warunki będą odpowiednie, więc statki ustawiają się w kolejce – najróżniejsze, takie, których nigdzie indziej się razem nie zobaczy: konfederacyjne, x-malkińskie, Błogosławionej Unii, zwyczajni handlarze Rubieży, przepatrywacze-terraformerzy z Przymierza, do wyboru, do koloru. Mówi się na to „Wodopój”, bo wszyscy się tu, no, dzielą. Nawet wrogowie. Nikt nie chce zamknąć węzła, kiedy oznaczałoby to, że cała flota może ugrzęznąć w tym zakątku galaktyki. Dlatego panuje rozejm. Czasami dość chwiejny. Kapitan Watanabe opowiadała, że raz, na początku, Konfederacja próbowała aresztować jumbo Przymierza przy innym węźle, Persakisie, niedaleko Zety Wężownika; Przymierze próbowało złamać embargo nałożone na Malkinów. Persakis został zamknięty na prawie rok i trzeba było dwudziestu lat, żeby wszyscy się po tym pozbierali, więc teraz panuje powszechna zgoda co do zakazu wrogich działań w bezpiecznej strefie węzła – tak jak drapieżniki i ich ofiary wspólnie korzystają z wodopoju na sawannie. Kiedy już się tam znajdziesz, jesteś bezpieczny. To... Casablanca.

Wspominałem, że lubię stare ziemskie kino, prawda?

Kiedy to wyjaśniłem, Balcescu wypytał mnie jeszcze, jak długo będziemy czekać przy Rainwaterze i kto będzie czekał razem z nami. Muszę powiedzieć, że jak na kogoś, kto był na piętnastu czy dwudziestu planetach, niewiele wiedział o polityce i o statkach

# DZIESIĘĆ SIGM

(Ten Sigmas)

PAUL MELKO

*Z początku nie rozpoznajemy w tym twarzy.*

Jedno oko zasłonięte opuchlizną, wokół niego siniak. Nos w skorupie zakrzepłej krwi, warga czerwono-czarna, a usta zaklejone taśmą klejącą, której barwa nie odróżnia się od jej bladej skóry.

Na pierwszy rzut oka nie wygląda to jak ludzka twarz. Żadna twarz nie powinna zerkać zza fotela kierowcy. Żadna twarz nie powinna wyglądać tak, jak ta.

No więc z początku nie rozpoznajemy tej twarzy. Dopiero kiedy jeden z nas ją dostrzega, wszyscy się przyglądamy.

Niektórzy z nas nie widzą nawet ciężarówka, a my stoimy zmrózeni tym, co zauważyliśmy. Pomijając jednego czy dwóch pieszych, ulica, przy której znajduje się księgarnia jest pusta. Żadna ciężarówka nie hałasuje na Sandusky Street, żaden silnik diesla nie zakłóca leniwego wiosennego dnia.

W niektórych światach ciężarówka jest tam, obok nas, albo dalej, na ulicy. W niektórych jest czerwona, w innych niebieska, jeszcze w innych czarna. W świecie, w którym dziewczyna spogląda na nas przez szybę, ciężarówka ma kolor kasztanowy metalik, a na drzwiach widnieje biały napis „Earl”.

Istnieje tylko jeden świat, w którym dziewczyna unosi pokiereszowaną, zakneblowaną twarz i spogląda na mnie jedynym zdrowym okiem.

Tylko w jednym świecie Earl sięga za siebie i odciąga ją poza zasięg naszego wzroku. W tym świecie Earl patrzy na mnie, a jego gruba twarz i brązowe oczy są bez wyrazu.

Ciężarówka zwalnia, a ten ja znika z naszej świadomości, odsunięty okolicznościami.

Nie, nie używałem swojej potężnej mocy dla dobra ludzkości. Wykorzystywałem ją do kradzieży własności intelektualnej osoby żyjącej w jednym świecie i przemykania jej do świata innego. Używałem niezwykłych zdolności, by kraść piosenki czy książki, a potem publikować je jako własne w milionach innych światów. Nie ostrzegałem policji przed atakami terrorystycznymi, pożarami czy trzęsieniami ziemi. Nie czytałem nawet gazet.

Mieszkałem w miasteczku nazywanym czasem Delaware, czasem Follett, a czasem Mingo, zawsze w tym samym miejscu, na rogu ulic Williamsa i Ripley. Żyłem skromnie w dwupokojowym domu, przed którym czasami rosła sosna, a czasami dereń, i spisywałem piosenki lub historie poznane w innych światach.

W tych światach, w których ciężarówka przejechała obok nas, spoglądamy na tablicę rejestracyjną – jest obramowana na srebrno, nieco wyżej widnieje wizerunek nagiej kobiety – i zastanawiamy się, co zrobić. Niedaleko znajduje się budka telefoniczna, na tym albo na sąsiednim rogu. Moglibyśmy zadzwonić po policję i powiedzieć...

Widzieliśmy dziewczynę tylko raz, a ten z nas, który ją spostrzegł, już przepadł. Skąd możemy wiedzieć, że w którejś z tych ciężarówek znajduje się związana i zakneblowana dziewczyna? Widzieliśmy tylko tamtą jedną.

Część z nas dostrzega w tym rozumowaniu tchórzostwo. Już się w to bawiliśmy. Wiemy, że istnieje nieskończona liczba możliwości,

ale nasz wspólny byt przemieszcza się między olbrzymią liczbą wielowymiarowych rozkładów prawdopodobieństwa. Skoro widzieliśmy dziewczynę w jednym ze światów, prawdopodobnie istniała ona również w nieskończenie wielu innych.

I w nieskończenie wielu była też bezpieczna. Tak sądzę.

Większość z tych nas, których ciężarówka minęła, przeszła przez ulicę do kawiarni. Kilku postanowiło rozejrzeć się za telefonem i ich wybór odłączył ich od naszego bytu.

Jestem – jesteście – wszechwiedzący, przynajmniej w pewnym sensie. Każdemu mogę zaprezentować sztukę, podczas której inny ja otwiera kopertę i patrzy, co jest w środku, dzięki czemu ja mogę później zachwycić publiczność. Zwykle nam się udaje. Jeden ja podgląda pierwszą kartę w talii, a reszta z nas poprawnie „odgaduje”. As kier, czwórka trefl, dziesiątka trefl. Prawdopodobnie trafimy wszystkie pięćdziesiąt dwie karty. W najgorszym wypadku pięćdziesiąt.

Potrąfimy unikać wypadków, wściekłych ludzi i samochodów – przynajmniej większość z nas potrafi. Jeden przyjmuje czasem na siebie cios, żeby pozostali mogli pojechać na fali prawdopodobieństwa.

Mijając niektórych z nas, kierowca zmienia bieg, aż drży cała ciężarówka. Earl, Bill, Tony, Irma spogląda na nas albo nie, i kabina kierowcy znika nam z oczu. Przyczepa jest koloru srebrny metalik. Zawsze. Odczuwam nasz lęk. Dzisiaj odpadło nas więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Decyzja o wykonaniu telefonu zredukowała nas o sześcian. Reszta zastanawia się, co zrobić. Kilku zapamiętuje numer rejestracyjny ciężarówka Earla, odchodzi szukać telefonu i znika.

Kiedy byliśmy mali, mieliśmy kota, Czekoladkę. W każdym wszechświecie wabił się tak samo. Lubił wdrapywać się na drzewa, choć często nie potrafił później z nich zejść. Raz wszedł na sam czubek klonu, o czym dowiedzieliśmy się dopiero, kiedy zaczął histerycznie miauczeć.

Tata nie chciał wejść po niego na drzewo.

– Poradzi sobie albo...

Czekaliśmy tam aż do zmierzchu. Wiedzieliśmy, że wejście na drzewo źle by się dla nas skończyło. Niektórzy z nas spróbowali i zniknęli ze złamanymi rękoma, nogami i nadgarstkami, a nawet skręconymi karkami. Czekaliśmy, nie wracając nawet do domu na kolację. Stały z nami dzieciaki z sąsiedztwa – niektóre lubiły Czekoladkę, inne liczyły tylko na jakieś widowisko. W pewnym momencie zerwała się wichura.

Widzieliśmy, jak Czekoladka spada między gałęziami i uderza o chodnik, łamiąc sobie przy tym kręgosłup. Poculiśmy nagłą falę smutku, ale reszta z nas skoczyła przed siebie z wyciągniętymi ramionami, a potem złapała spadającego kotka, amortyzując uderzenie.

– Jak ty to zrobiłeś? – zapytano mnie w milionach światów.

Wtedy zrozumiałem, że jestem inny.

Wracamy na chodnik, żeby poczekać, aż ciężarówka przejedzie obok nas, spisać numer rejestracyjny i anonimowo zadzwonić na policję.

# ZAJĘCIA W TERENIE

*(The Field Trip)*

ALEX SHVARTSMAN

z otaczającymi go budynkami i wyjaśnienie przeznaczenia tych terenów. Potem mieliśmy wrócić na uczelnię. Profesor dał nam na to godzinę.

Portal przeniósł nas w skąpane w palącym słońcu miejsce, położone kilka kroków od obelisku. Natychmiast rozproszyliśmy się, rozpoczynając badania. Nie było mowy o żadnej współpracy – w końcu do wzięcia był tylko jeden wakat.

Ja zacząłem od symboli wyrzeźbionych na ścianach obelisku. Skanowałem je przenośnym translatorom. Urządzenie miało dane dłużej niż kiedykolwiek, a ostatecznie nie pokazało żadnego wyniku. Nowoczesne translatory są bardzo zaawansowane i mają w pamięci tysiące struktur językowych. Jeśli w danym języku istnieje jakakolwiek powtarzalność czy przyczynowość, program potrafi ją rozpoznać. Zdziwiony wycelowałem urządzenie w oznakowanie umieszczone na jednym z pobliskich budynków – bez problemu je przetłumaczyło. Skierowany z powrotem na obelisk translator pracował przez chwilę, a potem znowu się poddał. Mógłbym przysiąc, że komunikat „Nie odnaleziono znaczenia” wyświetlił się z pewnym zażenowaniem, choć ten model nie posiadał akurat zaprogramowanych emocji. Albo informacje na obelisku zakodowano najbardziej skomplikowanym szyfrem, z jakim kiedykolwiek się spotkałem, albo nie był to żaden język.

Ponad połowę przydzielonego czasu spędziłem na kombinowaniu przy rozmaitych urządzeniach, analizując fragment granitowego obelisku. Do niczego konkretnego jednak nie doszedłem, a spojrzawszy na moich rywali, doszedłem do wniosku, że znajdują się w podobnej sytuacji. Zrozumiałem, że badając obelisk, nie wpadnę na żaden pomysł, postanowiłem więc rozejrzeć się za czymś innym. Przez pozostałe pół godziny badałem okoliczne tereny. Kiedy zbliżał się koniec wyznaczonego czasu, zacząłem formułować teorię. Przyłączyłem się do reszty studentów dopiero w ostatniej chwili. Profesor Quilp teleportował się równo o czasie.

– Archeologia – powiedział, kiedy zebraliśmy się wokół niego – jest w tym samym stopniu nauką, co sztuką. Zwykły badacz będzie analizował osiągnięcia dawnych cywilizacji. Dobry specjalista rozwikła pojawiające się zagadki, takie jak ta, i wyniesie z nich wiedzę. Jednak prawdziwie wielki archeolog to ten, który może polegać na swoich uczniach, bo wie, że zrobią to za niego. Każdy z państwa miał możliwość zbadania okolicznych ruin i stwierdzenia, że ich konstrukcja różni się od innych. Pytanie: dlaczego? Chciałbym teraz usłyszeć państwa teorie. Eetal, czy mogłaby pani zacząć?

Oddychająca metanem Eetal wyglądała, jakby wyjątkowo niewygodnie czuła się w stroju, który umożliwiał jej poruszanie się w nieprzyjaznym środowisku. Ale przynajmniej nie smażyła się w tym gorącu. Chyba.

– Z mojej analizy wynika – zaczęła ostrożnie – że obelisk nie mógł być zbudowany przez tych samych obcych, którzy wzniesli otaczające go budynki. Konstrukcja, materiały, a nawet wzory umieszczone na ścianach wyraźnie różnią się od reszty zabudowy. Moim zdaniem jest to artefakt pozostały po starszej cywilizacji; znajdował się tu wcześniej albo przeniesiono go w to miejsce jako trofeum. Resztę budynków wybudowano później.

Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Eetal była jednym z najsilniejszych przeciwników i zwykle nie pełniła tego typu gaf. Profesor Quilp zmarszczył czoło, myśląc prawdopodobnie to samo, co ja.

– Czy ktoś z pozostałych chciałby obalić tę teorię? – zapytał neutralnie.

– Obelisk wzniesiono mniej więcej w tym samym czasie co resztę zabudowy – Q'orr pospieszył z odpowiedzią mającą zawstydzić rywala. – To jasne dla każdego, kto zadał sobie trud przeprowadzenia badania rozkładu.

Mówiąc to, potrząsnął urządzeniem, które określało wiek materii na podstawie szkód wyrządzonych na jej powierzchni przez czynniki pogodowe. Miałem przy sobie podobny przyrząd, tak samo jak pozostali studenci.

Eetan wyglądała, jakby chciała natychmiast się stamtąd teleportować.

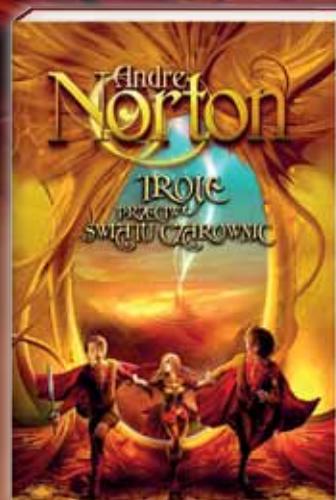
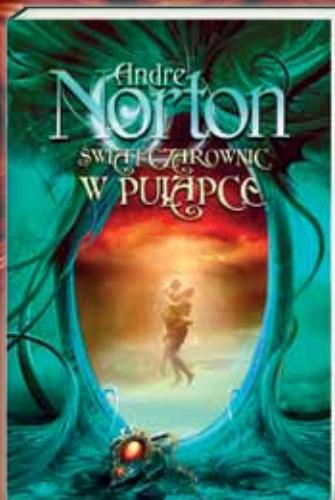
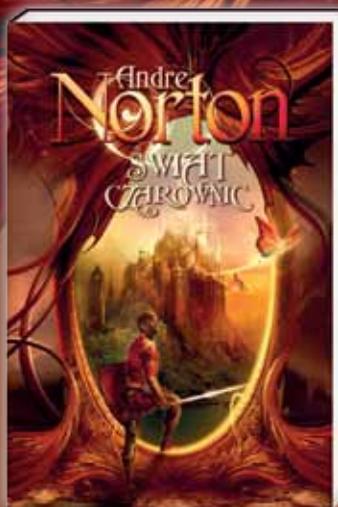
– Jestem Artellianką – wydukała.

Przyczyna pomyłki była więc jasna. Według religii Artellian wszechświat liczy sobie zaledwie 50 000 lat i jej wyznawcom nie wolno używać technologii węglowych i rozkładowych, które dowodzą, że jest inaczej.

– Następną hipotezę, proszę – pospieszał profesor Quilp, próbując odwrócić uwagę wszystkich od Eetan, a może po prostu chcąc jak najszybciej wydostać się z tego upału.

Nevri, student z wymiany z mgławicy Oriona, nie potrafił mówić. Zamiast tego wyświetlał trójwymiarowe obrazy, a jeśli było to konieczne, także tekst. Na jego projekcji obelisk przedstawiony był jako obiekt kultu tubylców. Teorię tę miał poprzeć fakt umieszczenia go w samym centrum zabudowy. Odniosłem wrażenie, że Nevri nie miał żadnego pomysłu, a na przedstawioną, zupełnie nieprzemysłaną koncepcję wpadł dopiero dzięki kłęsce Eetan.

– Niezbyt mnie to przekonuje – stwierdził profesor Quilp. – Jeśli taki obelisk byłby typowym obiektem kultu na tej planecie, musielibyśmy znaleźć ich tutaj znacznie więcej, choćby zniszczonych. Z drugiej strony, jeśli miałby



# FANTASTYCZNY ŚWIAT DAMSKO-MĘSKICH ANIMOZJI

MATEUSZ ALBIN

AMERYKAŃSKIM  
WYDAWCOM PISARKA  
FANTASY MUSIAŁA  
WYDAWAĆ SIĘ RÓWNIE  
ODRAŻAJĄCA, CO  
STEREOTYPOWA



CZAROWNICA O TWARZY  
POKRYTEJ KURZAJKAMI.  
PEWNIÉ DLATEGO POD  
„ŚWIATEM CZAROWNIC”  
NIE PODPISAŁA SIĘ  
ŻADNA ALICE MARY,  
TYLKO ANDRE NORTON.

Prawdziwe nazwisko autorki musiało ustąpić pod maskulinistyczną presją, podczas gdy na kartach powieści czytelnicy poznali świat, w którym to kobiety dysponują ogromną mocą. Ta zawita geneza dała początek równie pokręconemu cyklowi, na który złożyły się trzy serie i kilka okazałych zbiorów opowiadań.

## POZA GRANICE ŚWIATA

A wszystko początek miało w bardzo niemagicznych realiach. Otwierająca cykl powieść „Świat czarownic” z 1963 roku przedstawiła nam Simona Tregartha, całkowicie zwyczajnego szpiega, walczącego podczas II wojny światowej, który musi uporać się z trochę mniej zwyczajnym, ale zupełnie przyziemnym problemem. Otóż Simon ma na karku grupę złych ludzi, którym zalazł za skórę tak bardzo, że ci postanowili pozbyć się go raz na zawsze. Jedynym ratunkiem dla Simona wydaje się zniknięcie i... tak właśnie się dzieje. Z pomocą przychodzi mu Jorge Petronius, naukowiec zarabiający na ukrywaniu ludzi. Petronius opowiada Simonowi o Niebezpiecznym Tronie,

artefakcie otwierającym bramy między światami. Według jednej z teorii miał on być legendarnym Sięga Perilous, pustym miejscem przy okrągłym stole, przeznaczonym przez samego Merlina dla śmiałka, który powróci ze Świętym Graalem. Choć fantastyczna opowieść nie robi na żołnierzu dużego wrażenia, zdesperowany korzysta z zaoferowanej pomocy. W ten sposób Tregarth trafia do ogarniętego wojną miejsca, które bliźniaczo przypominałoby nasze średniowiecze, gdyby nie obecność magii. Czy jest to inna planeta, czy miejsce zupełnie poza naszą rzeczywistością? Tego bohater się nie dowiaduje, ale wkrótce zdaje sobie sprawę, że jego obecność w tej rzeczywistości nie jest przypadkowa, ponieważ odkrywa u siebie zdolności magiczne.

Norton, jakby próbując dyskutować z „Ziemiomorzem” Ursuli K. Le Guin, przedstawia świat, w którym uważa się, że talent magiczny jest dostępny wyłącznie kobietom. Mało tego,

korzystać z nich mogą tylko dziewczęta, ponieważ stosunek płciowy pozbawia czarownicę mocy. Nic dziwnego, że za najskuteczniejszą metodę zneutralizowania istoty magicznej uchodzi... gwałt. To zresztą nie koniec damsko-męskich animozji w twórczości pisarki.

## KRAJOBRAZ STAROŻYTNICH RUIN

Najstarszym ludem na Świecie Czarownic jest Stara Rasa, która jako pierwsza odkryła tajemnicę Talentu. W trakcie swojej podróży Simon poznaje dzieje tej starożytnej cywilizacji i jej stopniowego upadku, spowodowanego niekończącymi się wojnami i ciężarem własnej przeszłości. Żywo opisana historia Świata Czarownic lubi zataczać koła. Choć krajobraz znaczą starożytne ruiny i pozostałości po konfliktach, to niegdyś urodzajne ziemie zasiedlają kolejne rasy (tak Norton określa różne frakcje ludzi).

W otwierającej cykl historii Norton przedstawiła Estcarp, pierwszy z krajów tego świata, rządony przez matriarchalną radę czarownic. W następnych powieściach czytelnicy zwiedzili kolejne regiony i poznali ich

Prószyński Media Sp. z o.o. ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

## PRENUMERATĘ WYKUPISZ,

WPŁACAJĄC ODPOWIEDNIĄ KWOTĘ NA KONTO:

76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

LUB PRZEZ STRONĘ INTERNETOWĄ

[www.ksiegarnia.proszynski.pl](http://www.ksiegarnia.proszynski.pl)



ZASADY  
PRENUMERATY:

- > prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy;
- > reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy;
- > koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na poczcie ponosi zamawiający.

### MASZ PYTANIA?

> **zadzwoń:** (22) 27 81 727

> **napisz:** Prószyński Media Sp. z o.o., ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa lub [prenumerata@proszynskimedia.pl](mailto:prenumerata@proszynskimedia.pl)

PRENUMERATA	„NF”	„FWS”	„NF”+„FWS”
ROCZNA	84,00	32,00	108,00

# CENA ROCZNEJ PRENUMERATY „NOWEJ FANASTYKI” – TYLKO 84 ZŁ. PŁACISZ ZA 8 NUMERÓW, DOSTAJESZ 12!

Uprzejmie informujemy, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz. U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).

## HISTORIA, KTÓRA ZACHWYCIŁA

# URSULĘ K. LE GUIN

## NAJLEPSZE HISPANSKOJĘZYCZNE FANTASY NARESZCIE W POLSCE!

Mieszkańcy Żyźnych Ziem od dawna czekali na przybycie zapowiadzianych przez gwiazdy okrętów. Magowie nie potrafili jednak odczytać, czy przybysze to bracia, którzy setki lat temu odplynęli na stary kontynent i teraz powracają, czy też wrogowie pragnący zawiązać nową ziemią? Nie mieli pojęcia o potwornej grozie, jaką zgotują im najeźdźcy.

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Wydawca dołożył wszelkich starań, aby dotrzeć do spadkobierców autora grafiki zamieszczonej na stronie 6 niniejszego czasopisma. Uprzejmie prosimy wszystkich zainteresowanych o kontakt, celem dopełnienia formalności prawnych.

**Fantastyka**

### ADRES REDAKCJI:

ul. Rzymowskiego 28  
02-697 Warszawa

Telefon 22 27 81 792  
Faks 22 27 81 775

### E-MAIL:

[nowofantastyka@fantastyka.pl](mailto:nowofantastyka@fantastyka.pl)

[WWW.FANTASTYKA.PL](http://WWW.FANTASTYKA.PL)

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.  
ul. Rzymowskiego 28,  
02-697 Warszawa

Prezes zarządu:  
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:  
Artur Kaczorek, tel. 22 27 81 717  
[arturkaczorek@proszynskimedia.pl](mailto:arturkaczorek@proszynskimedia.pl)

Druk i oprawa:  
ORTIS Sp. z o.o.,  
86-050 Solec Kujawski, ul. Brukselska 8

### Kolportaż:

Firma 2M, tel. 22 607 79 10  
[magdalenaszwed@firma2m.pl](mailto:magdalenaszwed@firma2m.pl)

### REDAKCJA:

Jakub Winiarski  
redaktor naczelny  
[jakubwiniarski@fantastyka.pl](mailto:jakubwiniarski@fantastyka.pl)

Maciej Parowski  
ojciec redaktor  
[maciejparowski@fantastyka.pl](mailto:maciejparowski@fantastyka.pl)

### Michał Cetnarowski

Dział Literatury Polskiej  
[michalacetnarowski@fantastyka.pl](mailto:michalacetnarowski@fantastyka.pl)

Marcin Zwierzchowski  
Dział Literatury Obcej  
[marcinzwierzchowski@fantastyka.pl](mailto:marcinzwierzchowski@fantastyka.pl)  
Jerzy Rzymowski  
Dział Publicystyki  
[jerzyrzymowski@fantastyka.pl](mailto:jerzyrzymowski@fantastyka.pl)

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo do dokonywania zmian i skrótno. Za treść reklam nie odpowiada.

### Irina Pozniak

Dział Graficzny, tel. 22 27 81 734  
[irinapozniak@proszynskimedia.pl](mailto:irinapozniak@proszynskimedia.pl)

### STALI WSPÓLPRACOWNICY:

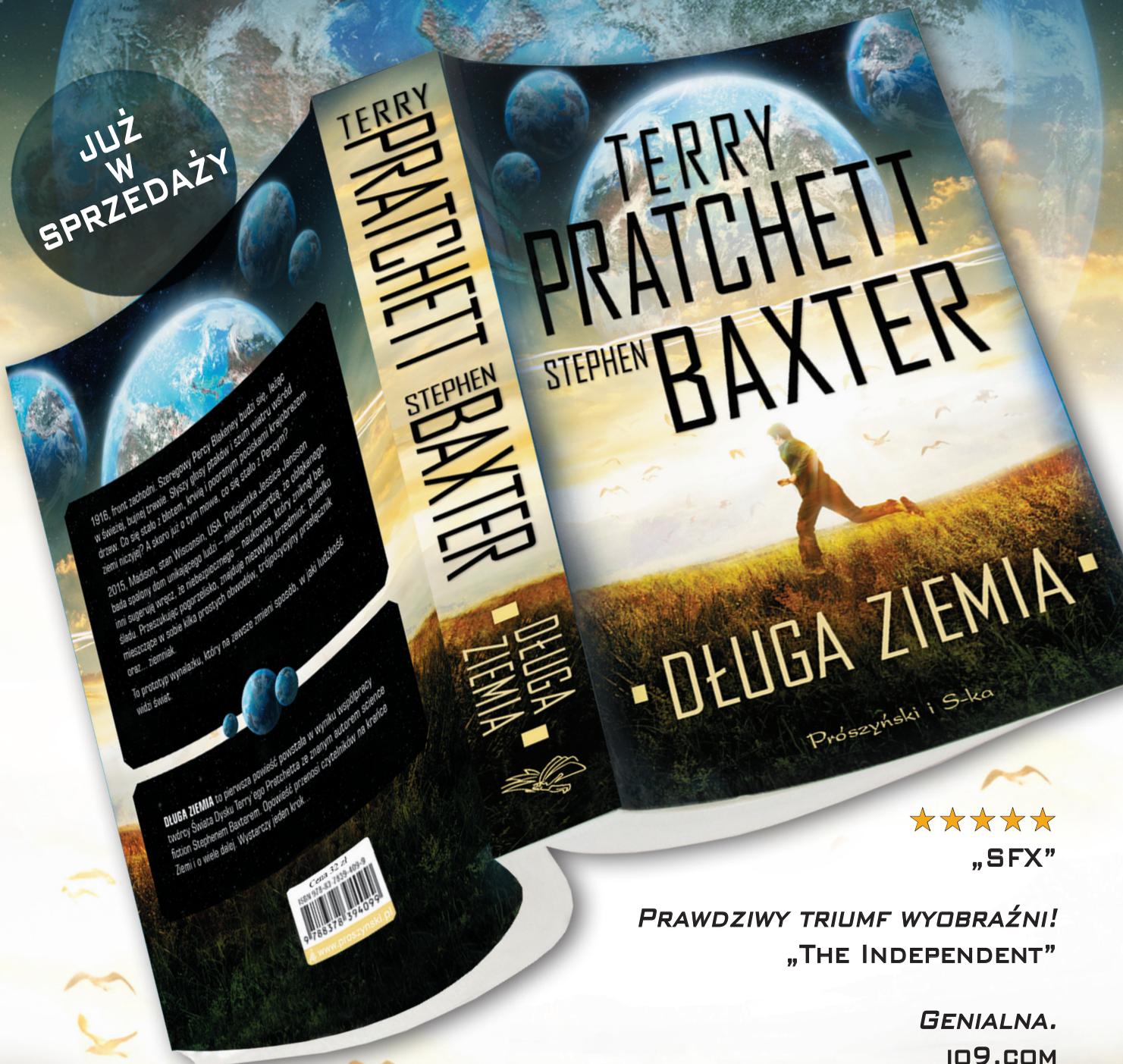
Wojciech Chmielarz, Jakub Ćwiek, Paweł Deptuch, Arkadiusz Grzegorzak, Agnieszka Haska, Rafał Kosik, Joanna Kulakowska, Kamil Lesiew, Waldemar Miasiewicz, Rafał Śliwiak, Łukasz Orbitowski, Bartłomiej Paszyk, Przemysław Pieniążek, Piotr Pieńkosz, Jerzy Stachowicz, Michael J. Sullivan, Peter Watts.

Czy tylko nam Jeremy Renner kojarzy się z Maliniakiem z „Czterdziestolatka”?

# GIGANCI FANTASTYKI W PEŁNEJ PRZYGÓD POWIEŚCI O ŚWIATACH RÓWNOLEGLYCH

WYRUSZ NA WYPRAWĘ,  
W GŁĄB DŁUGIEJ ZIEMI!

JUŻ  
W  
SPRZEDAŻY



1916. Front zachodni. Scenerogowy Percy Blakeney budzi się, leżąc w świątyni, buntnej trawie. Słyszysz głosy praków i czum wiatru wśród drzew. Do się stało z bladem, krwią i porożym posiekaniem kresobrazem ziemi niczyjej? A skoro już o tym mówię, co się stało z Percym?

2015. Madson, stan Wisconsin, USA. Policajka Jessica Larsson bada spalony dom unikającego ludz – niektórzy twierdzą, że obłąkanego, inni sugerują wręcz, że niebezpiecznego – naukowca, który zniknął bez śladu. Przeszukując pogrzezisko, znajduje niezwykły przedmiot, puzonko mieszczące w sobie kilka prostych obwodów, trójpoziomych przełączników oraz... ziemniak.

To prototyp wynalazku, który na zawsze zmieni sposób, w jaki ludzkość widzi świat.

DŁUGA ZIEMIA to pierwsza powieść powstała w wyniku współpracy fiction Stephenem Baxterem. Opowieść przenosi czytelników na krawędź Ziemi i o wiele dalej. Wystarczy jeden krok...



★★★★★  
„SFX”

PRAWDZIWIY TRIUMF WYOBRAŹNI!  
„THE INDEPENDENT”

GENIALNA.  
109.COM

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

PATRONI MEDIALNI



DEMOTYWATORY.PL

Pratchett.pl



dlaStudenta.pl



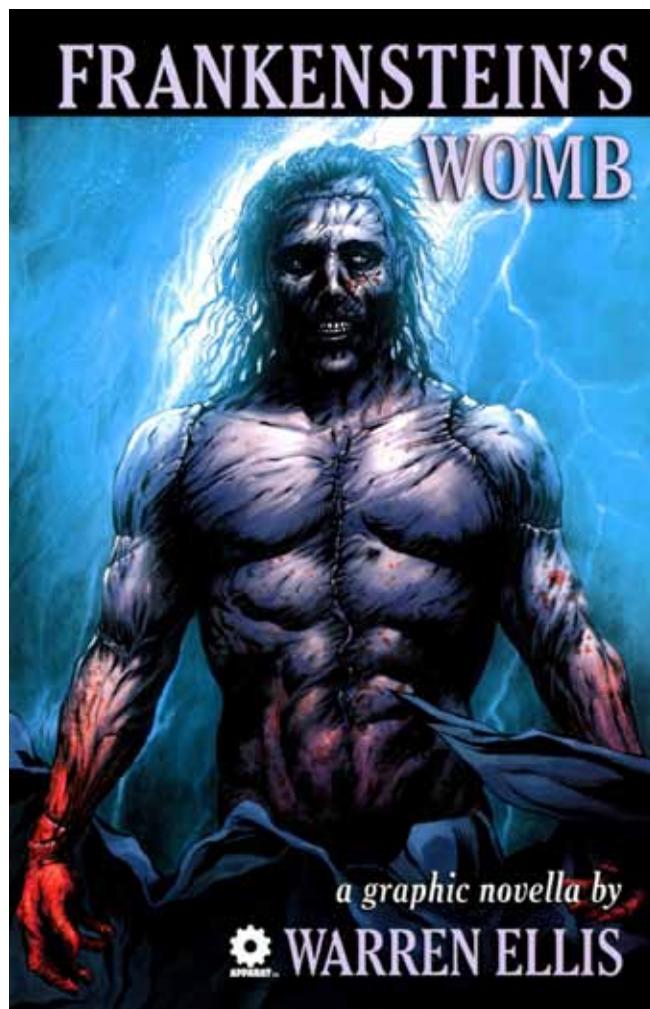
# LIST MIŁOSNY DO MARY SHELLEY

PAWEŁ DEPTUCH

„Frankenstein's Womb” jako odpowiedź na pytanie o inspirację i hołd dla prekursorki SF.

Znany i zasłużony pisarz, Brian W. Aldiss twierdzi, że książka Mary Shelley „Frankenstein” to pierwsza prawdziwa i pełnoprawna powieść science fiction. Jak dowodzi, nie dość, że jej bohater świadomie odnosił się do ówczesnych teorii i odkryć naukowych, to sama historia miała (i nadal ma) olbrzymi wpływ na literaturę i kulturę masową, inspirując twórców i przyczyniając się do rozwoju gatunku. Nie można odmówić mu racji. Liczba adaptacji, wariacji, pastiszów i nawiązań wydaje się nie mieć końca, a i nazwiska artystów korzystających z dziedzictwa Shelley (m.in. Tim Burton, Danny Boyle, Kenneth Branagh czy Ridley Scott) zdają się potwierdzać tezę Aldissa. Cegiełką do tej kolekcji dołożył również Warren Ellis, bezkompromisowy scenarzysta komiksowy, wielokrotnie podejmujący w swych dziełach tematy związane z transhumanizmem. Historię opowiada z punktu widzenia Mary Wollstonecraft-Godwin, podróżującej przez Związek Niemiecki wraz z przyszłym mężem (Percym Shelley'em) i kuzynką. Ich celem jest willa Diodati nad Jeziorem Genewskim i spotkanie towarzyskie z George'em Byronem. Nim jednak tam dotrą, robią przystanek przy niesławnym zamku Frankenstein, niegdyś zamieszkiwanym przez Johanna Dippela – głośnego pisarza, teologa i alchemika.

Nieposkromiona ciekawość Mary prowadzi ją przez labirynty ruin, w których napotyka Potwora, echo dawnych wydarzeń,



a zarazem zwiastuna rewolucji naukowej. Żywy, czy też eteryczny (niczym duchy z „Opowieści Wigilijnej”) ukazuje jej przeszłość – Dippela próbującego rozwickać tajemnicę kamienia filozoficznego, eksperymentującego z elektrycznością i ludzkimi zwołkami – oraz przyszłość, w której elektryczność wykorzystywana jest do monitorowania akcji serca pacjentów i przywracania ich do życia. Przez filozoficzny dialog i monolog oraz naświetlenie pewnych faktów z jej własnego życia próbuje przygotować ją na nadejście przyszłości, której ma być ona zarzewiem. Ellis w swej opowieści odnosi się nie tylko do biografii Mary, ale też do jednego z przypuszczeń, jakoby inspiracją do stworzenia „Frankensteina” była domniemana wizyta na zamku i niechlubne eksperymenty Dippela. Świadomie czy nie, popiera twierdzenie Aldissa, przedstawiając pisarkę jako Prometeusza, w którym dał ludzkości nowe spojrzenie na naukę, jednoznacznie przyczyniając się do powstania science fiction jako gatunku.

„Frankenstein's Womb” można potraktować jako bardzo osobisty list miłosny Warrena Ellisa do Mary Shelley, gdzie autor oddaje hołd prekursorce i wyraża swoje uwielbienie dla jej dokonań. Otacza ją aurą niesamowitości i chyba podświadomie, jako twórca również poruszający się w stylistyce SF, zdradza swoją zazdrość o tak przełomowy debiut. Krytycy za oceanem bardzo chłodno przyjęli ten album, zarzucając scenarzyście zbyt monotonna narrację, mało fascynującą historię i brak jakichkolwiek zwrotów akcji i napięcia. Mam jednak wrażenie, że jemu nie zależało na dogodzeniu publiczności, a jedynie na uzewnętrznieniu podziwu dla Mary Shelley i wpływu jej dzieła na całą kulturę. Zrobił to w jedyny możliwy sposób: konstruując spokojną, nostalgiczną, intymną historię. Może Ellis nie błyszczy tutaj tak, jak w innych swoich – przecież również przełomowych i znaczących – dziełach, ale dzięki temu, tak naprawdę gwiazdą w tym albumie okazuje



## EDGAR ALLAN POE – DETEKTYW



FILM   
 DODATKI

Film McTeigue'a jest mocno nierówny. Edgar Allan Poe, postać skomplikowana, wciąż czeka na godną kreację.

Zagadkowe epizody z życia słynnych pisarzy stanowią dobrą pożywkę dla twórców, którzy składają swoisty hołd, czyniąc ich bohaterami twórczości gatunkowej. Tak było m.in. z Charlesem Dickensem, o którym pisał Dan Simmons w „Droodzie” i z Arthurem Conan Doylem („Sherlockista” Grahama Moore'a). Tajemnica ostatnich dni Edgara Allana Poe'go była podstawą świetnej książki „Pokażę wam strach” Nikolaja Frobeniusa. Podobne motywy pojawiają się w filmie „Kruk. Zagadka zbrodni” w reżyserii Jamesa McTeigue'a.

W Baltimore zaczyna grasować morderca, którego zbrodnie inspirowane są utworami Poe'go (John Cusack). Detektyw Fields (Luke Evans) prosi pisarza o pomoc w śledztwie. Niebawem sprawca rzuca pisarzowi wyzwanie i wciąga go w okrutną rozgrywkę o najwyższe stawki.

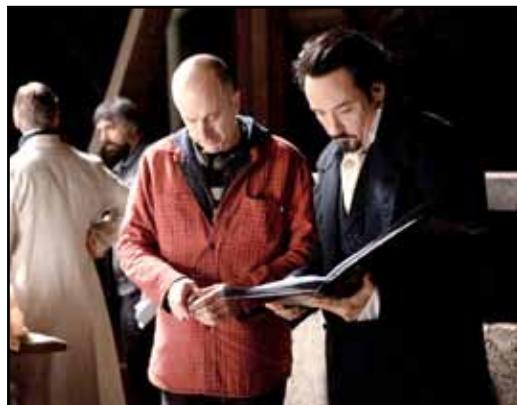
„Kruk. Zagadka zbrodni” to spadkobierca takich filmów jak „Siedem” czy „Kolekcjoner kości”, gdzie morderstwo nie jest celem samym w sobie, a zabójca realizuje swoje cele, pogrywając sobie z pościgiem. Różnica polega na tym, że opowieść toczy się w połowie XIX wieku, kiedy o profilerach nie było mowy, a metody śledcze mocno odbiegały od tego, co znamy obecnie – nie odczuwa się tego obserwując dochodzenie Fieldsa i Poe'go. Wypada tu przypomnieć, że to właśnie u tego pisarza w „Zabójstwie przy Rue Morgue” pojawił się pierwszy detektyw w historii literatury, Auguste Dupin, bez którego zapewne nigdy nie powstałby Sherlock Holmes.

John Cusack wyglądem dobrze pasuje do roli Poe'go, jednak nie udźwignął psychologicznej złożoności swojego bohatera – targanego emocjami, borykającego się z alkoholizmem, sfrustrowanego. To wszystko niby jest w scenariuszu, ale widać, że to gra aktorska; nie czuje się autentyzmu. Luke Evans i Alice Eve, wcielająca się w ukochaną pisarza Emily, mają swoje lepsze i gorsze chwile. Z obsady najlepiej wypadła Brendan Gleeson wcielający się w nieprzyjawnego Poemu ojca dziewczyny, kapitana Hamiltona.

Film McTeigue'a nie jest jednoznacznie zły, ale raczej mocno nierówny. Przed premierą, ze względu na podobieństwo tematyki, liczyłem na to, że będzie on ekranizacją powieści Frobeniusa i szkoda, że tak się nie stało, ponieważ byłaby ona znacznie lepszym materiałem na fabułę.

*Jerzy Rzymowski*

KRUK. ZAGADKA ZBRODNI (The Raven). Reżyseria: James McTeigue. Scenariusz: Ben Livingston, Hannah Shakespeare. Muzyka: Lucas Vidal. Występują: John Cusack, Luke Evans, Alice Eve. USA / Węgry / Hiszpania 2012. Dystrybutor: Kino Świat.



## Od redakcji:

To nie są klasyczne recenzje. Raczej puszczone trochę na żywioł impresje i pewna zabawa formą, która w wykonaniu Marcina Orlika (Oruena) zwróciła uwagę użytkowników strony fantastyka.pl i moją. A ponieważ Marcin wybiera ciekawe tytuły i zabiera się od nich w niezwykły sposób, warto zaprezentować go tutaj szerszemu gronu odbiorców. Jeśli te „inne recenzje” przypadną Wam do gustu, zagospzczą tu na dłużej.

Zapraszam do lektury i komentowania.

JeRzy

## MARCIN ORLIK

# EWOLUCJA DIABŁA W OPARACH ABSURDU, CZYLI „POWRÓT WOLANDA ALBO NOWA DIABOLIADA” WITALIJA RUCZINSKIEGO

### A co by było, gdyby?

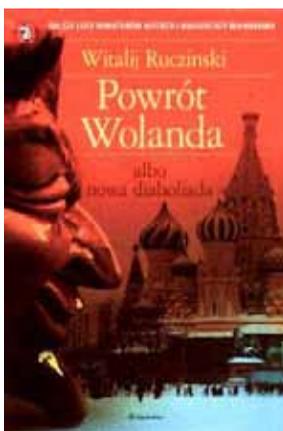
W Moskwie, za czasów Bułhakowa, pojawił się Woland ze swoją świtą. Co mogłoby się zdarzyć, gdyby powrócił podczas największych przemian w systemie komunistycznym?

### W oparach absurdu

Wrażenie, jakie wywarła na mnie książka Witalija Ruczinskiego można porównać z wrażeniem, które wywołałyby dwa geriatryczne żółwie grające katanami w ping-ponga na korcie US Open. Absurd momentami wycieka pomiędzy stronami, by przyjąć formę młotka i silnie uderzyć czytelnika w potylicę. Widoczne są wpływy zachodniej literatury i kinematografii, niektóre zdania wywołały we mnie wrażenie, że czytam książkę Terry'ego Pratchetta, a królicza część fabuły nasuwa skojarzenia z twórczością brytyjskiej grupy komików, szczególnie z filmem „Monty Python i święty Graal”.

### W cieniu Bułhakowa

Absurd w każdej formie zawsze witam chlebem, solą i gumowymi kaczuszkami. Ale (uwaga: tautologiczny kasztan!) zawsze musi być jakieś „ale”. Oczywiście, znalazło się i w tym wypadku. Z reguły denerwuje mnie bezpośrednio zwracanie się do czytelnika w książce. Owszem, bywają wyjątki, jednak w tym wypadku jest irytujące, a do tego autor postanowił poprowadzić mnie za rączkę przez większość odwołań do Bułhakowa, a umówmy się: raczej nikt nie sięgnie po kontynuację „Mistrza i Małgorzaty” nie przeczytawszy najpierw – uwaga – „Mistrza i Małgorzaty”, prawda? Książka w porównaniu z dziełem Bułhakowa wypada błado – ale, moim zdaniem, nie jest to miarodajne porównanie. Nie mówię, że jest źle – jest inaczej.



### Diabeł w bardzo ludzkiej skórze

Czytając, nie mogłem się powstrzymać od nieustannego porównywania fabuły i bohaterów do tych z „Mistrza i Małgorzaty”. Niby ci sami, a jednak inni, mogłoby się zdawać, że przemijający czas odcisnął swoje piętno na Wolandzie i jego świcie. Zginęła gdzieś nieprzenikniona aura, którą wokół siebie rozciągał, aura tajemniczości i pewności siebie. Rzeczy, których domyślaliśmy się u Bułhakowa, u Ruczinskiego powiedziane są wprost. Wolandowi zdarza się też mylić, bywa mu zimno i może stracić panowanie nad sobą. Powiem wprost: to czego brakuje Wolandowi Ruczinskiego, to klasa. To ten trudny do zdefiniowania aspekt Wolanda sprawia, że stawał się intrygujący jako postać w „Mistrzu i Małgorzacie”, że można go było polubić. Jego świta również uległa czasowi. Czy jest to zły diabeł? Nie sądzę; to raczej diabeł naszych czasów.

### Czytać, nie czytać?

Wielbicielem „Mistrza i Małgorzaty” powiem: jeśli oczekujecie tego samego, co dostaliście od Bułhakowa, to nie dostaniecie tego w tej książce. Dostaniecie coś innego, pewien ersatz. Co do nie-wielbicieli „Mistrza i Małgorzaty”, najpierw przeczytajcie Bułhakowa ponownie, a potem przemyślcie w kącie swoje zachowanie. A potem, jeśli chcecie, zabierzcie się za Ruczinskiego. Nie mogę wypowiedzieć się w kategoriach „dobre / niedobre”. Ruczinski otwarcie przyznaje w tekście, że wie, że to, co napisał, na zawsze pozostanie w cieniu „Mistrza i Małgorzaty”. Podobnie jego bohater – Jakuszkin – nigdy nie będzie Mistrzem, co zgodnie stwierdza Woland ze świtą. Krótko mówiąc: inne czasy, inny diabeł.

# MOLEKULARNE PIWO DLA FILOZOFA ZEN, CZYLI „MAKSYM I FIODOR” WŁADIMIRA SZYNKARIOWA.

Kiedy filozofię zen zmiesza się z dużą ilością rosyjskiego alkoholu destylowanego na domowy sposób, dostaje się „Maksyma i Fiodora” Władimira Szynkariowa. Oto grupka sympatycznych rosyjskich pijaków, inteligentnych na opak, pakująca się w różne tarapaty. Brzmi znajomo, komuś się nagle przypomniał polski pisarz zwany Pilipiukiem? Powiedziałbym, że to coś podobnego, tylko że innego.

### Japońskie pudełko formy w dobrej formie

Cytując Szynkariowa, można powiedzieć, że nawet o dziele literackim nie można wydawać sądów na podstawie zawartych w nim słów. Paradoxy przewijają się przez tekst w zdumiewającym tempie, a fabuła co chwilę wskakuje w inną formę: zaczynamy od aforyzmów, by po chwili przeczytać haiku na transporterze opancerzonym,

dramat i scenariusz niekolorowego filmu niemego, poskakać dalej po formach i skończyć na dzienniku jednego z bohaterów. Przy okazji – wspominałem, że całość jest ułożona achronologicznie? Trzymając tę książkę, miałem wrażenie, że to małe, japońskie pudełko, które po określonej sekwencji ruchów otworzy się przed czytelnikiem.

### „Życie (picie) według Zen”

Oto Maksym, krzewiciel buddyzmu zen spod płota, dumnie dzierżący w ręce butelkę wódki i tłumaczący filozofię swoim uczniom od butelki:

*Pewnego razu Maksym spytał, w czym, zdaniem Piotra, zawiera się sens zen.*

*– Zen – powiedział Piotr, który lubił porównania subtelne, lecz niedalekie – to sztuka nalać dwie pełne szklanki wódki z jednej ćwiarteczki.*

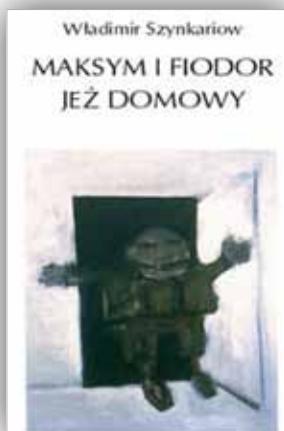
*– Z pustej – dorzucił Wasyl.*

*Maksym przeniósł wzrok na Fiodora.*

*– I wódki nie wypić – rzekł Fiodor.*

*Maksym z zadowoleniem kiwnął głową, powiedziawszy:*

*– I do szklanek nie nalać.*



Takie ciągłe wykrzywanie filozofii zen (ale czy na pewno wykrzywanie, czy tylko niezwykle podejście?) strasznie mnie bawiło, choć przy niektórych, poważniejszych przykładach, zmusiło mnie do zastanowienia. Maksym jest postacią komiczną i tragiczną jednocześnie, niesamowicie inteligentną i bezdennie głupią jednostką, pijakiem o trzeźwym osądzie rzeczywistości. Jego towarzysz Fiodor i uczniowie Piotr i Wasyl, mimo niesamowitych możliwości przyjęcia w siebie dowolnej ilości wódki, pozostają jego godnymi kompanami – do rozmowy i do kieliszka. Czytając, musiałem cały czas zestawiać obraz pijacka spod płotu z geniuszem, łączyć potencjalne przeciwieństwa w jedną całość.

### To czytać, nie czytać?

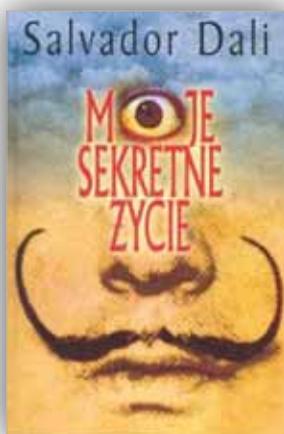
Zalecam i polecam, popijając z durszlaka domowy samogon. Książka jest wielowarstwowa, z każdym kolejnym spotkaniem znajdowałem coś nowego. Trochę absurdu, ciągłe przekraczanie formy i treści, która zmusza do myślenia – czego chcieć więcej? Według Szynkariowa – zapewne jeszcze buteleczki.

## BARDZIEJ POKRĘCONY NIŻ JEGO WĄSY, CZYLI „MOJE SEKRETNE ŻYCIE” SALVADORA DALI

Nie przepadam za czytaniem biografii, szczególnie autobiografii. Jestem po prostu do nich uprzedzony i uważam, że najlepszym sposobem na poradzenie sobie z autobiografią to zobaczyć okładkę, po czym zakopać na dziewięć miesięcy w miękkim torbie i przerobić na podpałki. Ot co. Ale w przypadku autobiografii Salvadora Dali postanowiłem ostrożnie odstawić łopatę i przyrzyć się jej bliżej. Zakasałem rękawy, chwyciłem za długopis i z ostrożnością jaskiniowca, który po raz pierwszy widzi ogień i próbuje go dotknąć, delikatnie szturchnąłem okładkę. W przeciwieństwie jednak do biednego jaskiniowca i ku własnemu zdziwieniu, nie sparzyłem się.

### Zrozumieć Salvadora

Nie spodziewałem się, by osoba pokroju Salvadora Dali, z inklinacjami do ciągłego szokowania i ekshibicjonizmu, miała jakieś życie sekretne. Tę książkę traktuję jako pòlsurrealistyczny, częściowo achronologiczny portret namalowany słowami. Autor opisuje swoje życie poprzez kolejne obrazy, które kojarzy z określonymi uczuciami. Lubi się nad sobą zachwycać, książka aż pęcznieje od ego, a mimo to czyta się ją przyjemnie. To, co mnie jako czytelnika zaintrygowało, to sposób, w jaki Dali opisuje swoje spojrzenie na świat. Oprócz tego można też poznać źródła inspiracji, a liczne anegdoty z dzieciństwa, wieku dorastania i czasów najintensywniejszej pracy malarza dostarczają przedniej rozrywki. Książkę chłonie się poprzez kolejne obrazy, i nie mam na myśli tych, które Dali namalował, ale te, które Dali pozwala czytelnikowi namalować samodzielnie we własnej głowie.



### Salvador Bliżej

Książkę można traktować jako swoisty autoportret malowany słowem. Można zajrzeć do głowy autora i odkryć, że zamieszkuje ją głównie... Salvador Dali. Sam autor lubi przechylić paletę i wylać swoje emocje i przeżycia na czytelnika, pozwalając, by poznał jego sposób myślenia o świecie i ludziach, a przy okazji chce udowodnić, że Dali jest wielki, chociaż wszyscy już to wiedzą. Dali nie chce widzieć siebie jako kolejnej postaci powiązanej z malarstwem – jego intencją było bycie poza wszystkim, a może nawet bycie poza bytem, a jednocześnie definiowała go chęć nieustannego wpływania na otaczający świat.

### Salvador Dali

Używając małych obrazów, małych punktów ze swojego życia, Dali, niczym Seurat i Monet, tworzy większy, impresyjny i ekspresyjny obraz swojej osobowości i wydarzeń, w których miał okazję brać udział. Na ten chaos na wpół wyrażonych uczuć i przemijających obrazów chciałoby się spojrzeć bliżej. Choć czasem, i tak jest w tym wypadku, lepiej patrzeć Dali.

### To czytać, nie czytać?

Cóż, zastanawiam się, komu by to polecić? Z pewnością wszystkim, którzy podziwiają Salvadora i jego twórczość. Tym, którzy chcieliby zajrzeć do jego głowy. Miłośnikom malarstwa i pianki kaskowej w środowisku elektrycznym.

Omówienie nie zapominałem. Tak, czytać. ■



To znów rozdział z drugiego tomu moich „Małp Pana Boga. Obrazy”, ale kompletny. Chodzi o danie świadectwa wielkiej nieocenzurowanej już fali kina, jaka wylała się na Polskę po 1989 roku i o poszukiwanie w tej fali fantastycznych paranteli i powinowactwa. Moją obsesją było i jest wiązanie fantastyki z życiem, jak robi King w krytycznej summie „Danse Macabre”. Nie wszystkim to się podoba, wielokrotnie oprotestowywano tzw. rozmywanie konwencji w krytyce i doborze prozy, choć zdawało mi się, że to fantastykę wzbogaca. Ten rozdział ma w oryginale 36 000 znaków, ale do książki poszło tylko 24 000, redaktorka, skądinąd bardzo przytomna osoba, broniła jak lwica fantastycznej ortodoksji. A że akurat dostałem miejsce w wydaniu PDF, powiedziałem O.K., całość puszczyć sobie gdzie indziej.

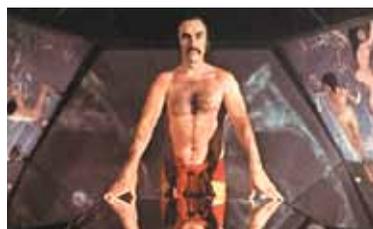
Rzeczywistość jest ważna w fantastyce, bo z konwencjonalnej gry może uczynić sztukę. To nie od razu było oczywiste, ale takie myślenie dało przecież żywotność fantastyce socjologicznej. Kiedyś znajdę i pokażę tu swój wywiad z profesorem Aleksandrem Jackiewiczem z „Politechnika” z 1975 roku na temat kina w ogóle. Jest ciekawy mimo (może przez to?), że perspektywa fantastycznego w ogóle się w nim nie pojawia. Wielka zmiana, inwazja fantastyki na język sztuki ruszyła parę lat potem. Pasjonujące jest przyglądanie się takim momentom chwilę przed przełomem.

Z festiwalami warszawskimi była jeszcze ta ciekawa okoliczność, że zależało nam na odbiorcach, jacy tam przychodzili, ciekawych świata, sztuki, którzy kochali kino w ogóle. A że Andrzej Brzezicki robił festiwalowe katalogi, więc w latach '93 – 2003 mieliśmy w tych katalogach reklamę „NF”, a oni mieli ją u nas, co dawało nadzieję na poszerzenie kręgu czytającej pismo publiczności.

# FESTIWALE

## – PRZEKRACZANIE GRANIC

MACIEJ PAROWSKI



Już w 1989 roku, po wielkim politycznym przełomie, przyszło ożywienie w kinach i kinie. W 1991 roku funkcjonowały jeszcze Konfrontacje Filmowe – zacna, choć elitarna inicjatywa, wymyślona w głębokim PRL-u. Na pierwszy plan jednak zaczął stopniowo wychodzić tzw. Warszawski Tydzień Filmowy (zorganizowany po raz pierwszy w 1985 roku), który w 1991 roku zamienił się w Warszawski Festiwal Filmowy, a potem w Warszawski Międzynarodowy Festiwal Filmowy. W kinach trwała radość nazwania, radość wolności; filmy niosły świadectwo zmiany świata i nowe typy poznania. W filmie, w plastyce było to wszystko wyraźniejsze niż w literaturze, a w każdym razie na pewno powszechniej odbierane.

Fantastyka, której obfitości doświadczyliśmy już wcześniej, zdawała się zjawiskiem z innej działki niż festiwalowe kino artystyczne, czy jak mówiono, autorskie. Miesięcznik „Fantastyka” na przełomie lat 80 i 90, poza recenzjami nowości Doroty Malinowskiej, praktycznie nie miał własnej szkoły krytyki filmowej. Właściwie dopiero w „Nowej Fantastyce” zjawily się

szkice i wywiady omawiające filmową fantastykę bez gatunkowych kompleksów i cenzuralnych ograniczeń.

Sprawozdania ze wspomnianych festiwali także dawały szansę na szersze spojrzenie. Pisaliśmy je z Dorotą Malinowską osobno, dzieląc się filmami, lub wspólnie, jak relację z Festiwalu Fantastycznych Filmów w hiszpańskim Sitges A.D. 1994. Wypatrywaliśmy dokonania bliskich naszej działce, wpisywaliśmy fantastykę w kontekst kina w ogóle, szukając pokrewieństw bądź punktów wspólnych. Co prawda, już podczas Konfrontacji '79 okazało się, że ozdobą elitarnej imprezy może być fantastyczny „Stalker” Andrieja Tarkowskiego<sup>1</sup>, ale bardzo długo oglądano to kino oddzielnie, nie badając przesłań kulturowych czy politycznych. Nazywanie wielu zjawisk było utrudnione także z tego powodu, że nie docierało do Polski wiele znaczących tytułów. Trzeba było przemian 1989 roku, żeby obejrzeć tak różne filmy jak „**Łowca jeleni**” Michaela Cimino, „**Na srebrnym globie**” Andrzeja Żuławskiego, „**Ręce do góry**” Jerzego Skolimowskiego, „**Północ, północny zachód**” Alfreda Hitchcocka czy „**Zardoz**” Johna Boormana.

<sup>1</sup> Szczęściarce, którym udało się zdobyć wiosną 1973 roku konfrontacyjne karnety, mogli obejrzeć mistrzowską i skandalizującą jak na owe czasy „Mechaniczną pomarańczę” Stanleya Kubricka. Później ozdobą Konfrontacji bywały takie fantastyczne hity jak „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” czy „E.T” Stevena Spielberga.

Teraz widać, że tamten okres burzy i naporu się skończył, emocje opadły, zaległości zostały obejrzone, a filmy, układane już bez ekstazy na gatunkowych półkach w podgatunkowych przegródkach, nie mają takiego wpływu na wyobraźnię i rozumienie świata, jak kiedyś.

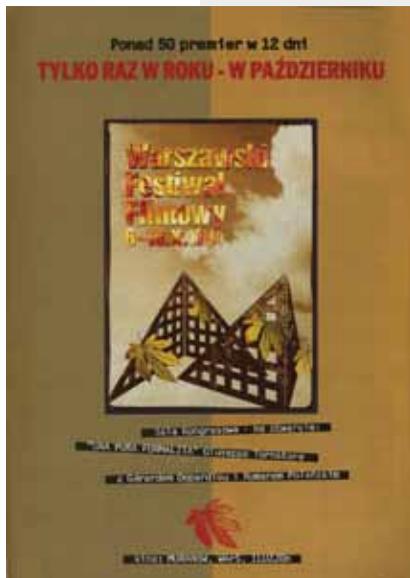
## 1991

Jesienią 1991 roku odbył się Warszawski Festiwal Filmowy – przegląd najnowszych tendencji i dokonań kina autorskiego, święto filmu, impreza dla rasowych kinomanów, oczekujących od X Muzy nie tylko pustej rozrywki. Na plakacie Festiwalu znalazła się znana z naszych łamów praca Wojtka Siudmaka – kosmiczne dłonie obejmujące kryształ. Imprezę otworzył uroczysty pokaz „**Gabinetu doktora Caligari**”, słynnego ekspresjonistycznego horroru z 1919 roku. Film wyświetlono w Teatrze Wielkim z towarzyszeniem Berlińskiej Orkiestry Kameralnej. Codzienną ozdobą festiwalu była zaś retrospektywa **Nicolasa Roega**, reżysera wytrwale flirtującego z szeroko rozumianą fantastyką, autora m.in. „**Nie oglądaj się teraz**”, „**Człowiek, który spadł na Ziemię**”, „**Eureka**”, „**Błahostka**”, „**Tor 29**”, „**Wiedźmy**”.

SF wchodzi na salony? Może niezupełnie, ale miłośnik SF znalazł na Festiwalu wiele dla siebie. Roeg to jeden z twórców uprawiających bardzo osobiste kino autorskie. Akcją wyszukanych pod względem plastycznym filmów prowadzi na granicy szaleństwa, a często poza nią. Proponuje widzom kino tajemnicy, obsesji, perwersji. Odsłania swe światy, prowadząc narrację nielinearnie, mnoży tropy, odczytania i tajemnice, a jednak za każdym razem daje fascynujące widowisko. Roeg to typowy chiński Smok – urodzony w 1928 roku, podobnie jak Dick. Tacy widzą świat inaczej, nam zaś wręczają przepustki do swych szalonych, fantastycznych wizji.

„**Błahostka**” opowiada w lekkim tonie o niemającym miejsca w rzeczywistości spotkaniu Einsteina, Marilyn Monroe, jej męża Joe DiMaggio i senatora McCarthy’ego, znanego komunożercy. „**Eureka**” jest dziwną, mroczną, pełną cudów opowieścią o człowieku, który znalazł skarb i ginie z ręki kochanka swojej córki. „**Człowiek, który spadł...**” to na pozór klasyczna SF, opowiedziana w stylu pop, o przybyszu z gwiazd, który montuje u nas kapitalistyczne przedsiębiorstwo, szarpie się, kocha, patentuje wynalazki, by wspomóc swoją bezwodną planetę. Główną rolę, manierycznie, ekshibicjonistycznie, jakby dwupłciowo, bo zgodnie ze swoim estradowym emploi, gra tu David Bowie. Roeg, artysta eksperymentalny i ekstrawagancki, potrafi wykorzystywać idoli rocka: już w jego debiutanckim „**Performance**” grał Mick Jagger, a w „**Bad Timing**” – Art Garfunkel.

Klasyczna SF daje nam dziś powtórkę, jej twórcy szukają dopiero nowych dróg. Roeg znalazł je i wykorzystuje od dawna, ukazując tajemniczą podszewkę rzeczywistości, ale wcale nie jest w tym twórczym zajęciu samotny. Filmowców posługujących się fantastycznością jako filozoficzną metodą i artystyczną przyprawą było na Festiwalu więcej. Na pewno należy do nich **Terry Gilliam** (również Smok,



tyle że z 1940 roku), autor „**Jabberwocky**”, „**Brazil**”, „**Przygód barona Münchhausena**” czy wreszcie pokazanego na festiwalu „**The Fisher King**”.

Także nasz **Krzysztof Kieślowski** w reprezentującym na Festiwalu Polskę i Francję „**Podwójnym życiu Weroniki**” okazuje się badaczem niesamowitego, w tym przypadku tajemniczej gry fatum, wolnej woli, przypadku i przeznaczenia. W „**Weronice**” zadziwiające jest „uczenie się” jednej psychicznej bliźniaczki od drugiej, z których jedna mieszka w Krakowie, a druga w Paryżu. Odnajduję w tym pokrewieństwo z fantastyką, na przykład z książką Boba Shawa „**Człowiek z dwóch czasów**” i filmem „**W poszukiwaniu miłości**”, który powstał na jej podstawie. Ale i Kieślowski poszukuje w tym kierunku nie od dzisiaj. Zaczynał jako dokumentalista, uważny obserwator rzeczywistości, ale już w „**Przypadku**” i „**Bez końca**” znajdował pod realną powłoką dziwne związki osób i zdarzeń na tym i tamtym świecie. Może

taki eklektyzm to dobra droga dla dzisiejszego kina?

**Luca Bessona**, autora „**Wielkiego błękitu**”, ocierającego się o fantastykę, przedstawiono na Festiwalu filmem „**Atlantis**”. Po kosmosie gwiazdnym, po kosmosie wewnętrznym, odkrywanych przez filmowców i pisarzy SF, Besson odsłania dla nas piękny i urzekający kosmos – podwodny.

„**Przebudzenie**”, rewelacyjny film **Penny Marshall**, przypomina skromne arcydzieło SF – film „**Charly**” **Ralpha Nelsona**. Chodzi o ekranizację słynnej noweli **Daniela Keyesa** „**Kwiaty dla Algernona**”, opowiadającej o człowieku umysłowo niedorozwiniętym, który poddany kuracji farmakologicznej normalnieje, potem przemienia się wręcz w geniusza, by w krótkim czasie znów wpaść w umysłową ociężałość. A jednak za sprawą tego medycznego cudu ze wszystkimi stało się w tym filmie coś nieuchwytnie dobrego. W „**Przebudzeniu**” odzyskują świadomość wieloletni katatonicy. Co ciekawe, film opowiada o zdarzeniu autentycznym z 1969 roku, czyli mającym miejsce krótko po premierze „**Charly’ego**”. Życie naśladuje sztukę, a kino realistyczne chodzi po śladach fantastyki! Czyż to nie wspaniałe odkrycie!

## 1992

I ten Festiwal Warszawski zainaugurowano klasyką kina SF. Uczętę filmu autorskiego rozpoczął uroczysty pokaz „**Metropolis**” **Fritza Langa**. Przepowiadaliśmy z Dorotą Malinowską rok temu w pofestiwalowych relacjach, że tak będzie.

✱

W tzw. fałszywych dokumentach **Petera Greenawaya**, jak „**Kronika wypadków**”<sup>2</sup>, w jego skłonności do symetrii, katalogizowania, bud-

<sup>2</sup>Posługując się technikami paradokumentalnymi, reżyser stworzył niepowtarzalną galerię 92 postaci – ofiar niewyjaśnionych zdarzeń. Niektóre z sekwencji trwają zaledwie kilka sekund, ale wszystkie układają się w apokaliptyczną mozaikę, katalog typów ludzkich, w których rzeczywistość miesza się z sennym koszmarem, a dominującym elementem jest zagadkowa skłonność bohaterów do utożsamiania się z ptakami. Muzykę do filmu napisali



wania sytuacji sztucznych, symbolicznych, w operowaniu cytatem, malarskim pastiszem, ironią, poetyką alegorycznego koszmaru, w którym zdarzają się rzeczy niemożliwe, jest jednak coś z fantastyki. Nie standardowej, jarmarcznej, lecz tej, którą miał na myśli stary Irzykowski, mówiąc o wprawianiu w ruch pewnych władz duszy. Dodalbym, zwłaszcza władz intelektu. Greenaway opowiada swoje prawdy o świecie, o człowieku, budując sytuacje przerysowane, na pograniczu sztuczności. Sugeruje istnienie w rzeczywistości związków magicznych, choć niedorzecznych. Wszystko to są zabawy bliskie fantastyce.

Natomiast bez trudu przyjdzie mi zaanektować do fantastycznego bractwa film „*Delicatessen*” **Jean-Pierre Jeuneta** i **Marca Caro**. To film absolutnie wariacki, bliski science fiction, choć utrzymany w zdecydowanie francuskim, nie amerykańskim stylu. Zrazu rzecz wygląda na ponurą – zapuszczona kamienica na przedmieściu, w niej rzeźnik-kanibal i jego wygłodniały klienci, a zarazem (z czego nie zdają sobie sprawy) ofiary. Czas nieokreślony, orwellowski, po jakiejś wojnie czy pogromie. Potem zamienia się to w szaloną gonitwę gagów, sytuacyjnych nieporozumień; pojawia się galeria zadziwiających typów, kamienica trzęsie się od zabawnej grozy, a widownia pęka ze śmiechu. Znalazłem w tym filmie odwołania do „*Brazil*”, „*Płonącego wieżowca*”, „*Rodziny Addamsów*” i do wcześniejszych, powojennych filmów francuskich. Wszystko utrzymane w tonacji buffo, z tajemniczymi i zaprzysięgłymi wegetarianami egzystującymi w kanałach; z artystą cyrkowym o prześmiesznej gębie, zakochanym z wzajemnością w córce rzeźnika, który dybnie tymczasem na jego życie; ze zwariowaną a wyrafinowaną samobójczynią, której nie udają się wymyślne targnięcia na życie; z facetem hodującym w pokoju tysiące żab; z finałową sceną zbierania się wody w łazience tak, że zakochani pływają z głowami pod sufitem.



A za drzwiami czeka z siekierą niedoszły teściu/ludojad.

Piękny, szalony film, zdradzający już od tytułu mistrzowskie oprowadanie kamery; rzecz wyluzowana, na pewno nie tania i w oczywisty sposób europejska. To już drugi, po „*Nikicie*” Bessona, film francuski przywracający wiarę w odrodzenie kina nad Sekwaną.

✱

Trochę trudniej, ale czegoż się nie robi dla arcydzieł, zaliczyć w poczet filmowej fantastyki film **Toma Stopparda** „*Rozenkrantz i Guildenstern nie żyją*”. Stoppard dokonał eklektycznej, jeśli chodzi o czas akcji, trawestacji „*Hamleta*”, by zabawić się z Szekspirem trochę tak, jak Sapkowski z Tristanem i Izoldą w „*Maladzie*”.

Oglądamy historię Hamleta poprzez losy jego fałszywych przyjaciół. Wiemy, że jesteśmy w teatrze, ale to teatr jest prawda, a świat grą. Są w tym filmie elementy niepokojące i bliskie fantastyce, sugerujące, że rzecz dzieje się w ekscentrycznym wymiarze probabilistycznym i czasowym. Film otwiera scena, w której bohaterowie rzucają znalezioną monetą kilkaset razy pod rząd i wychodzi im reszka. Znajdujemy

*Michael Nyman* oraz *Brian Eno*. (opis filmu na portalu FilmWeb, autor: Gonja). W innym paradokumencie z tego samego roku, „*Act of Good*”, pokazuje Greenaway z czarnym humorem relacje ludzi, którzy przeżyli uderzenia pioruna. Twórcy filmu „*Ciekawy przypadek Benjaminia Buttona*” musieli oglądać tę krótkometrażówkę.

się więc w krainie stronniczego prawdopodobieństwa, ergo fatum, czyli losu, który już wydał swój wyrok. Panowie R. i G. (interpretatorzy Szekspira zwracają uwagę, że są oni nierozróżnialni), wplątani między króla i Hamleta, kłamią, kłuczą, ale czy mogliby tego nie robić? Jeden z nich bez przerwy konstruuje jakieś turbinki, wiatraczki, kukielki wyglądające bardzo współcześnie. Stoppard mnoży sygnały i anachronizmy, R. i G. z niezwykłą znajomością rzeczy dyskutują o teorii prawdopodobieństwa, która narodzi się dwieście lat później. Są więc więźniami losu i szekspirowskiej wersji, czy może, gdyby mieli charakter zdoliby zachować się godziwie? No i czy w każdym wariancie tej historii muszą stracić życie?

Stoppard i Greenaway tworzą daleko poza gettem SF, a jednak korzystają z fantastyki na różne sposoby, moglibyśmy się od nich wiele nauczyć. Warto o tym pamiętać, wyruszając do kina, bo czyste arcydzieła SF w rodzaju „*Łowcy androidów*” trafiają się raz na dziesięciolecie.

## WIOSNA 1993

Lata 80. w kinie to eksplozja fantastyki i SF. Mieliliśmy wówczas w repertuarze filmy Stevena Spielberga, George'a Lucasa, Ridleya Scotta, Johna Landisa, Roberta Zemeckisa, Wolfganga Petersena, Petera Hyamsa... Ta fala z opóźnieniem dociera dziś do telewizji; fantastyka obłaskawiona, wyprowadzona z getta, wchodzi w rodzinny obieg społeczny. Nie ma tygodnia, żeby w telewizji nie odgrzano, a to „*Czarownic z Eastwick*”, a to „*Fahrenheita 451*”, a to „*Gremlinów*” czy „*Tronu*”; posiadacze kablówek mogli posmakować nawet „*Powrotu z piekła*”. Takie wielkie ćwiczenie wyobraźni (a może fantastyczne pranie mózgu?) musiało wpłynąć na kino artystyczne, kino autorskie. Na świecie i u nas.

Ale na początek zauważmy inną prawidłowość. Z piętnastu filmów

Konfrontacji Filmowych A.D. 1993 aż siedem opowiada o kłopotach twórców, rzecz jest znamienna.

„*Aż na koniec świata*” **Wima Wendersa** – dzieło nierówne, poplątane, najbliższe konwencji SF, w jednej z warstw traktuje o rejestracji snów, o ich „tworzeniu” dla innych. Bohater Wendersa stworzył umożliwiający takie cuda wynalazek dla niewidomej matki. I żeby go jej przekazać, a także pojednać się z ojcem przemierza pół świata, wdaje się w kryminalną intrygę o wymiarze globalnym, a nawet kosmicznym. Przy czym okazuje się, że wracanie do snów własnych i cudzych powoduje uzależnienie. Jesteśmy u źródeł metafory, która charakteryzuje kino. I u źródeł przemian, jakie kino wywołuje w naszym życiu.

*Historie i życie doskonale się wykluczają* – mówi Wenders, w którymś z esejsów, przedrukowanym w materiałach Konfrontacji – są *niemożliwe, lecz nie potrafimy bez nich żyć*. Czyli w wyniku oglądania filmów i telewizji zaczynamy żyć w świecie nierzeczywistym. W świecie widowiska, którego główną treścią czy sprawą zaczyna być kwestia powstawania widowisk. A jedynym wartym uwagi problemem – recepta na sporządzenie dobrego widowiska. A główną grą – gra konwencji. Nazywamy to sytuacją postmodernistyczną. W „*Krzyku kamienia*” Wernera Herzoga montuje się sztuczną górę w hali sportowej, czyniąc alpinizm cyrkowym. Albo za sprawą kamer i helikopterów sprowadza

się autentyczną górę do mieszkania telewidza, który obserwuje zmagania alpinisty z wiatrem, zmęczeniem, zamiecią śnieżną i siłą ciężania, jakby to było o krok, na wyciągnięcie ręki.

Oczywiście zjawiają się tęsknoty. Za autentyzmem, za czymś pierwotnym, nieskażonym cywilizacją. U Herzoga pojawi się zamyślona Indianka, Wenders u kresu podróży przez kontynenty zajrzy na antypody do Aborygenów. Oni i Indianka coś doń mówią, nadają jakieś sygnały, ale nieczytelne. Chodzi bowiem o znak, kulturowy cytat, o manifestację wydziedziczenia. Cywilizacja odrzutowców skurczyła świat, coraz mniej nieskalanej egzotyki, coraz dalej do miejsc, w które można by uciec od siebie.

Pozostaje ucieczka w szaleństwo.

I w fantastykę. Poza Wendersem najbliższe działki SF są utrzymane w poetyce sennego, wręcz narkotycznego koszmaru „**Barton Fink**” **braci Coenów** i „**Nagi lunch**” **David** **Cronenberga**, nakręcony



na podstawie powieści Burroughsa. Oba szalone. I bardzo dickowskie, wizjonerskie, niezwykle intensywne, choć jednocześnie otwarte. I jak to u autora „Ubika” bywało – niedomknięte logicznie.

Tytułowy Barton Fink, dramaturg spoleczny, prowincjusz o ciasnym umyśle, daje się uwieść machinie Hollywood i w Los Angeles pisze scenariusz o zapaśnikach. W hoteliku przez ścianę mieszka jego nowy powiernik i przyjaciel, który okaże się maniackalnym mordercą. Starszy pisarz/scenarzysta, wzorowany na Faulknerze, udzielający Bartonowi porad, to pijaczyna, kobieta pisarza zginie w łóżku Bartona zaszlachtowana. Pisanie scenariusza nie idzie, Barton nie ma pojęcia o zapasach, choć przyjaciel/morderca paroma nelsonami i rzutami na podłogę wyklada mu reguły tej męskiej sztuki. W dodatku ożywa dziewczyna z plakatu wiszącego w pokoju Bartona, ale nie odpowiada na jego pytania. Impetyczny producent – figura straszna i groteskowa – doprowadza niefortunnego scenarzystę do obłędu czolobitnym uznaniem połączonym ze stanowczymi żądaniem dowodów postępu pracy. W finale hotel płonie, morderca ratuje życie Bartona i ten wędruje plażą z pakunkiem pod pachą, najpewniej jest w nim głowa następczej zamordowanej kobiety, i spotyka nad wodą dziewczynę/muzę z plakatu. Fink nie sprostął Hollywood, niewykluczone, że część z koszmarów, które obejrzelśmy, zdarzyła się naprawdę. Choć może to produkt zgorączkowanej wyobraźni scenarzysty, bezgranicznie samotnego wobec zadania nad siły.

W „Nagim lunchu” wizje są równie wariackie, ale mają bardziej czytelny gatunkowo rodowód. Biorą się z narkotyków, z różnych używek, między innymi z złotego proszku używanego do tępienia karaluchów. Bohater, alter ego Williama S. Burroughsa (bitnika, narkomana, pisarza-wizjonera, deklarującego skłonność do SF), pracuje przy deratyzacji, przypadkiem zabija żonę, próbuje pisać, pod wpływem narkotyków rozmawia z karaluchami i z zadziwiającymi potworami, które mianują go swoim agentem łącznikowym. Zamieniają się mianowicie pod jego ręką w maszyny do pisania i każą stukać raporty z tajemniczej interjony. Wiele w tym filmie fizjologicznego brudu, upokorzenia i upadku – żona zdradza bohatera na jego oczach, on z kolei oddaje się homoseksualistom za pieniądze. Ale wiele tu też, zwłaszcza w kontaktach z widziami, zadziwiającego,

wisielczego humoru.

Może przez swoją krańcowość, bolesną dosadność w ukazaniu zagubienia człowieka, nawiązują te filmy dobry kontakt z widownią, także tą niezainteresowaną fantastyką. Wydają się współczesne i na temat. Opowiadają o bohaterach, którzy utracili kontrolę nad rzeczywistością.

## JESIEŃ 1993

Kiedy 7 października 1993 roku ruszał w Warszawie maraton światowego kina autorskiego, dwieście metrów dalej, w kinie Kultura, odbywała się premiera reżyserskiej wersji „**Łowcy androidów**”. Dosłownie „biegnący po ostrzu”, inaczej „**Łowca robotów**” (oficjalny tytuł, który się nie przyjął), to film o przekraczaniu granic psychologicznych, uczuciowych między robotem (androidem) a człowiekiem. Ambitne kino science fiction często w to gra.

Na festiwalu też była fantazja, tylko innego rodzaju. Zaczęło się od obrazoburcy. **Peter Greenaway** pokazał „**Dzieciątko z Macon**”, film wizyjny i świętokradczy, w którym, jak na ateistę, socjalistę, Anglika i feministę przystało, załatwia porachunki z Kościołem Katolickim. Sparafrazowana historia świętej rodziny zostanie odegrana przez trupę teatralną na dworze Cosimo Medici. Rzeczywistość miesza się z fikcją, cudowne dziecko może odwrócić nieurodzaj, jaki spada na burgundzkie miasto Macon w XVII wieku. Falszową matką i prawdziwą dziewczicą jest siostra chłopca, na ekranie (w teatrze?) miesza się dworski i kościelny ceremoniał, następuje wielostopniowa próba zawłaszczenia i zmanipulowania cudu.

Greenaway z rozmachem ateusza i plastyka, który po mistrzowsku czuje barok, miesza z błotem i dziewictwo Maryi, i historię Kościoła, i mistykę Krzyża. W finale dzieciątko zostanie rozszarpane na relikwie, fałszywa matka wielokrotnie zgwałcona podczas teatralnego spektaklu, który zamienia się w rzeczywistość, a cała historia jest utopiona w człowieczym demonizmie – i fantastycznym, i nie do końca czytelnym, bo wielowykładalnym, dającym się oczywiście uniwersalizować na humanistyczną modłę, ale propagandowo dość wrednym i jednoznacznym. *Dobro jest wykorzystywane, zło nie bywa karcone* – powiada na konferencjach prasowych Greenaway. Mam to za cwany parawan, bo co sobie Brytol poświntuszył z katolicyzmem i Przenajświętszą Panią, to jego.

*Polacy, nie dajcie się ogłupić!* – zawołał po pokazie filmu w Teatrze Wielkim jeden z widzów, co reżysera zdziwiło, a część naszej prasy próbowała przedstawić jako chamstwo. Oczywiście nieślusnie, gdyby na przykład nasz Grzegorz Królikiewicz (podczas festiwalu była retrospektywa jego twórczości) pojechał do Londynu i tam pokazał film robiący z królowej angielskiej kurwę i szmatę (tu Królowa Korony Polskiej, tam angielska, chodzi mi o skalę prowokacji), a nikt z widzów nie próbowałby pisać – miałbym Anglików za watów.



Ciekawszą atrakcją festiwalu była twórczość hiszpańskiego reżysera **Pedro Almodóvara**, specjalizującego się w komplikacjach uczuciowych i sytuacyjnych przydarzających się prostytutkom, transwestytom, maniakom, homoseksualistom, porywaczom kobiet, uwodzicielom...

Brzmi to dziwnie, ale nie jest Almodóvar naturalistą ani skandalistą czystej wody, to raczej poeta, surrealistą, humanistą kina. Swoich bohaterów pokazuje z sympatią i potrafi zmusić widza, by ich polubił. Otoczony własną ekipą, wrażliwy i czuły wobec postaci-dziwaków, którymi zaludnia ekran, buduje światy i opowieści nierzeczywiste: w filmie „**Zwiąż mnie**” chłopak porywa dziewczynę, więzi ją, ale jego uczucie sprawia, że rzecz kończy się inaczej niż trzydziści lat temu w posępnym „**Kolekcjonerze**”. Z kolei w „**Prawie pożądania**” homoseksualna zaborcza, agresywna miłość i niewierność doprowadzają do morderstwa. W „**Wysokich obcasach**” tematem wariackiej fabuły są komplikacje uczuciowe córki i matki, między które zaplączę się pewien mężczyzna.

W filmach Almodóvara jest wiele ewangelicznej miłości, współczucia, choć też i radosnej, nieodpowiedzialnej tolerancji wobec postaw fajdackich. Są to fantazje na temat miłości, seksu, wierności. Są to melodramaty podszyte ironią i filmy erotyczne, przełamane morałem.

Jeszcze bardziej dosłowne przekroczenie bariery płci znaleźć można w dokumencie **Jennie Livingston „Paryż płonie”**. Ten plon pięcioletniej pracy i wybór 77 minut z 70 godzin zanotowanych na taśmie daje na ekranie oszałamiającą paradę odmieńców, przebierańców-gejów i transwestytów, którzy bawią się podczas dorocznych bali w Harlemie i Bostonie. Oto prawdziwy „fantastyczny pejzaż” ludzki i zbiór „niemożliwych sytuacji” międzyludzkich, to znaczy tak jest dla większości z nas, siedzących przed ekranem. Dla tych na białym prostokącie to święto, ich Boże Narodzenie, Wigilia, ich ślub i życie... Zaakceptować to czy odrzucić? A co zrobić z kultowym we Francji filmem „**Szalone noce**” **Cyrila Collarda**, pokazującym wielką miłość (własną), wielką witalność i wielką nieodpowiedzialność bohatera i autora zarazem, który z miłości fizycznej czyni sztukę, ze zmiany partnera regułą, a w dodatku jest chory na AIDS? I na tę chorobę umiera, być może zarażając innych, którzy wystąpili z nim przed kamerą.



Nie lubię „Szalonych nocy”, podziwiam „**Grę pozorów**” **Neila Jordana**, autora pamiętnej „**Mony Lisy**”. W jego „**Grze...**” jest i poczucie odpowiedzialności za innych, i wina, i odkupienie. Jest miłość, która wydaje się niemożliwa (kobieta okazuje się transwestytą), a jednak spełni się, dwie osoby uratują sobie życie i wyświadczą wiele dobrego. Jest też film Jordana przewrotną analizą magii płci, opowieścią o tym, jakimi środkami się ją buduje. Nie ma w tym filmie wulgarności ani złośliwej prowokacji; jest krzepiące przestanie o dobru w człowieku, które może się ujawnić w przedziwnych sytuacjach i wcieleniach. Bohaterom „**Gry pozorów**” dana jest, bo ja wiem... może należy nazwać to łaską?

U Greenawaya mamy problem łaski straconej, sfatszowanej, zbru-

kanej wręcz odrzuconej. O łaskę przebaczenia, pojednania ze sobą i innymi nie śmie nawet błagać „**Zły porucznik**”, bohater filmu **Abla Ferrary**. Przekupny, narkotyzujący się, absolutnie zdemoralizowany policjant staje tu wobec fenomenu męczeństwa i świętości. Brutalnie zgwałcona przez wyrostków zakonnica nie złoży doniesienia, nie zezna przeciw swoim oprawcom, wybaczy im... Policjant nie może tego zrozumieć, szarpie się, w kościele ma widzenie i kłóci się z Chrystusem o sens swego życia, które uważa za całkowicie zmarnowane. I tu się myli, w najgorszym upadku człowiek może odzyskać godność, odgąć się, jeśli zechce, poprosi, jeśli pierwszy wykona gest.

Czystej fantastyki było tym razem niewiele. Co innego w języku, w poetyce skrajności, w tajemniczej aurze, jak na przykład w wyestetyzowanym „**Orlando**” **Sally Potter**, na postawie minipowieści Virginii Woolf, opowiadającej o istocie przekraczającej granice epok, wieku i płci (znowu!). Można by tu też zaliczyć bladą kalkę „**Czarownic z Eastwick**” – czarną, sensacyjną komedię „**Oszust**” **Stephana Elliotta** z Philem Collinsem jako demonicznym agentem ubezpieczeniowym. Ja czekałem w branżową niecierpliwością na „**Wittgensteina**”, film **Dereka Jarmana** o słynnym logiku i filozofie. Niestety, mimo intelektualnego baletu intrygujących postaci, wygłaszających teatralnie filozoficzne kwestie na czarnym tle, komplikacje i finezje myśli i osobowości filozofa zaznaczyły się na ekranie skrótowo. *Gdyby lew potrafił mówić, nie potrafilibyśmy go zrozumieć* – twierdził Ludwig Wittgenstein. To fakt, łatwiej je rozumieć, kiedy pokazują pazury i groźnie otwierają paszcze...

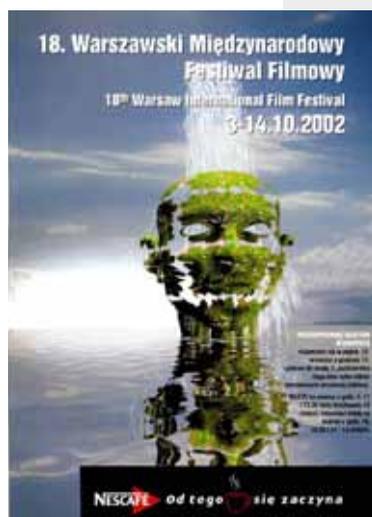
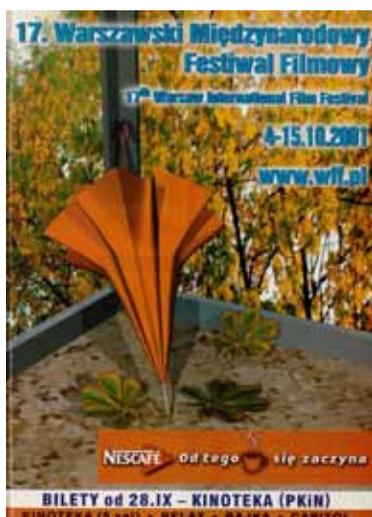
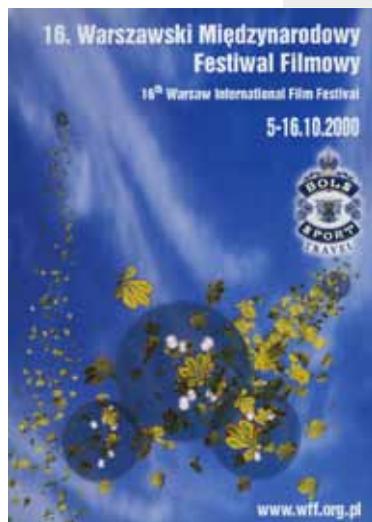
I tak było z całym Warszawskim Festiwałem. To kino mówiło językiem gestu, buntu, przerysowania, prowokacji – było jednym wielkim wołaniem o akceptację inności. O odczarowanie, oddemonizowanie różnych przeklętych środowisk, ekstrawaganckich postaw, ról, wreszcie, choć słowo to nie jest *en vogue*, zbroczeń. Czy kino zawstydzi się kiedyś, że odegrało taką rolę? Czy pokazało nam człowieka w odmieńcu, czy przeciwnie, spróbowało z płochy odmienności uczynić zasadę? Pomagało się lepiej zrozumieć czy skuteczniej zniechęcić? Dało podstawy cywilizacji tolerancji czy nadkruszyło fundament cywilizacji powinności i odpowiedzialności? Już jest pewne, że nie odegrało roli skutecznego pośrednika między skrajnościami. Lepiej bowiem wychodzi filmowcom rekonstruowanie przeżyć prostytutki („**Domenica**” **Petera Kerna**) niż zrozumienie sensu półwiekowej

przygody z totalitaryzmem trzydziesto paromilionowego narodu („**Mała apokalipsa**” **Costy Gavrasa**, na podstawie Konwickiego).

Taka jest natura dzisiejszego kina, zafascynowanego skrajnościami natury genitalnej i obyczajowej. A co do sensu polskiej przygody z totalitaryzmem – cóż, sami przestajemy ją rozumieć. Jak Pekosiński, bohater filmu Królikiewicza, jak Marek Piwowski, który naiwnie sądzi, że możemy wyrównać skomplikowane rachunki z dziejami i światem jego „**Urowadzeniem Agaty**”.

1999

Uczestnictwo w warszawskich festiwalach jest podszyte paradoksalnym napięciem. Zrazu cieszy możliwość oglądania kina autorskiego



z różnych stron świata, kręconego z pominięciem reguł hollywoodzkiej sztampy. Gdzieś tak w połowie festiwalu spostrzegamy, że czegoś nam chwilami brakuje. Zaczynamy podejrzewać, że może niektóre z chwytów kina popularnego nie są do końca złe.

Zabawne, że co najmniej paru reżyserów festiwalowych musi myśleć podobnie. Przytapujemy ich przecież na hollywoodzkiej dramaturgii, na wymuszonych happy endach, sentymentalizmie, tanim burzycielstwie i socjalnym chciejstwie. W tym wszystkim jest też część prawdy o naszych duchowych potrzebach, o porządku opowiadania i odbierania opowieści. Pewnie nie powinno więc dziwić, że w „**Highway society**” **Miki Kaurismäkiego** serce chorej, pięknej i bogatej dziewczyny może zdobyć tylko gbur i plebejusz. Że w nowoczesnym, jeśli chodzi o sposób filmowania „**Mifune – Dogma 3**” **Sørena Kragh-Jacobsena** panienska na godziny, która nasika burżujowi na dywan, okaże się bliższa bohaterowi niż żona, córka

bogatego przemysłowca. Mity dobrego rzeźmieszka, złego arystokraty, czystego jak Iza Kopciuszka z burdelu okażą się niezniszczalne.

Czystej fantastyki jak zwykle nie było na festiwalu za wiele. **Terry Gilliam** pokazał tym razem „**Las Vegas Parano**”, psychodeliczno-deliryczną podróż przez Stany, jaką dziennikarz muzyczny odbywa ze swym adwokatem. Rzecz powstała na podstawie kultowej autobiografii Huntera S. Thompsona z 1971 roku. W filmie, nadto bezkrytycznym wobec bohaterów, zarejestrowano narkotyczne klimaty i wizje, czasem pokrewne SF, szalonych lat kontrykultury. Miłośnicy fantastyki znajdują w chaotycznym dziełku Gilliama barwny przypis do odlotowej i wielkiej, też autobiograficznej, powieści Dicka „Przez ciemne zwierciadło”, opowiadającej o tych samych czasach i obyczajach.

Obiecujący, nieszablony, fantastyczny „**Pi**” **Darrena Aronofsky’ego**, nagrodzony już na festiwalu filmowym w Sundance w 1998 za reżyserię, to kino eksperymentalne, czarno-białe, nerwowe, młodzieńcze. Także zapowiedź oryginalnej wyobraźni i talentu, kojarząca się odlegle z podobnie kiedyś wyzywającą „Głową do wycierania” Davida Lyncha. Ten film pójdzie do zwykłych kin, by czarować m.in. fantastów. Natomiast tylko na festiwalu można było obejrzeć rosyjski film „**Potwory i ludzie**”, też czarno-białą, stylową fantazję w realiach Petersburga tuż przed rewolucją, sporządzoną przez **Aleksieja Bałabanowa**, autora pamiętnego „Brata”. Tytułowymi potworami jest tu para wokalistów, młodych, sympatycznych braci syjańskich o azjatyckich rysach; ludzie zaś – to przedstawiciele marginesu, okrutnicy, zboczeńcy, przestępcy dysponujący pewną mocą socjalną, więc uruchamiający w ogarniętym dekadencją mieście filmowy biznes porno. W hałaśliwym i wystawnym „**Cyryliku syberyjskim**” **Nikity Michalkowa** znajdziemy zaś odwieczną rosyjską duszę, odmalowaną dużo bardziej sentymentalnie niż w „Potworach”, i wątek tragicznego romansu pięknej amerykańskiej awanturnicy z rosyjskim kadetem. Wreszcie mamy tam „brzytwę-golarzkę”, tytułowego „cyrylika”, fantastyczną maszynę do wyrębu syberyjskich lasów. Rzecz nie jest aż tak cudowna i wypracowana, jak olbrzymi, kroczący pojazd w amerykańskim *steampunkowym* „**Bardzo dzikim Zachodzie**” **Barry’ego Sonnenfelda**, ale też robi wrażenie fantastycznego urzędzenia, wziętego jakby prosto z Verne’a albo nie z tej Ziemi.

## 2003

Inteligentne kino autorskie ma dziwny stosunek do zdobyczy kina gatunków. Jeśli na 19. Warszawskim Międzynarodowym Festiwalu Filmowym pojawiały się chwytły typowe dla ekranowej fantastyki, to w filmach nie z naszej półki.

W „**24 Hour Party People**” **Michaela Winterbottoma**, angielskiej opowieści o klubie Hacienda i muzycznej scenie Manchesteru ukazano z werwą mechanizmy telewizji, perwersje i wielkość clubbingu oraz muzyki lat 80. Nieoczekiwanie, w narkotycznej scenie



na dachu, legendarnego założyciela Haciendy oblegają gołębie, po czym przekształcają się w UFO i zaczynają go ostrzeliwać. Podobny wręt w postaci wojownika ninja (plus sekwencję trików nierzadko z „Matriksa”) oglądamy w palestyńskiej „**Boskiej interwencji**”. Film **Elii Suleimana** jest komedią, dzieje się na posterunku granicznym, ludzie z obu stron kochają się, handlują, dzieciaki rozrabiają, żołnierze rewidują i szkanują, jak w życiu. Ale grasującemu po okolicy świętemu Mikołajowi i szybującemu w górę balonikowi z wizerunkiem Arafata – nie poradzą.

Fantastykę jako wzmacniacz ekspresji i marzenia należy oczywiście zaakceptować. W niemiecko-amerykańskim, feministycznym do bólu „**Teknolust**” ekscentryczna panna biogenetyki kopiuje samą siebie, pozyskując podstępnie spermę (!). Niestety, ten udający SF film autorski jest tak niedorzeczny, że trudno pojąć jak odtwórczyni z „Orlando”, Tilda Swinton, mogła wziąć w nim udział i w dodatku wygłaszać podczas końcowych napiśmowanych natrętnych morałów.

Granic umownych (i dosłownych, jak w „Boskiej interwencji”) było na festiwalu więcej. W niemiecko-polskich „Światach” oglądamy Słubice, ostatni posterunek na rubieży Unii Europejskiej. Mrowią się tu Ukraińcy, Niemcy, Polacy, Rosjanie, kłębią łajdactwa i wielkoduszność, interesy i kanty, wielkie nadzieje i jeszcze większe przekreśły. Czy inspirujące dziś autorów fantastyki emocjonalne napięcia na krańcach rzymskiego imperium wyglądały podobnie?

Niewidzialne granice biegną w poprzek społeczności szkolnej z głośnego „**Słonia**” **Gusa Van Santa**, filmie-rekonstrukcji strzelaniny w amerykańskim liceum Columbine. Jedyne seminarium merytoryczne w „Słoni” – jedna lekcja, to wykład poświęcony tolerancji dla homoseksualizmu. Masakrze to nie zapobiegło. Podzieloną jest społeczność Niemiec, ukazana w filmie „**Wrzesień**”, obserwujemy reakcje niemieckiej (wieloetnicznej) społeczności na tragedię World Trade Center. Dużo dzieli mieszkańców chorwackiej kamienicy w „**Mitych martwych dziewczynach**” **Dalibora Matanića** – wiekowo, obyczajowo, religijnie, płciowo. Bohaterkami są tu dwie lesbijki prześladowane przez religianckiego macho i strasznych mieszczan. Różnice mentalności Francuzów i Kanadyjczyków – sentymentalnych i starych, ale jarych (bo pamiętających paryską wiosnę '68 i jej zwodnicze hasła), oraz ich następców, wyrachowanych, sprawnych manipulatorów, bada **Denys Arcand** w „**Inwazji barbarzyńców**”. Dzieli świat też opcje polityczne i wynikłe z nich inne widzenie rzeczywistości, co pokazuje norweska nowelowa, błyskotliwa parodia różnych wyborczych programów „**Większość ludzi mieszka w Chinach**”. Społeczność więzienną, dramatycznie podzieloną na mięczaków i grypsujących twardzieli, oglądamy w filmie „**Symetria**” naszego **Konrada Niewolskiego**.

Nikt w tych filmach nie jest do końca u siebie, nikt nie może czuć się pewnie. Poruszamy się po dziwnym terytorium, konstatają twórcy, przemierzają się po nim groźne alieny albo zostali zrzućeni obcy agenci. Może to być własne, zbałamucone dziecko, małżonek, kochanek, zasymilowany sąsiad/emigrant, zakompleksiony kolega z klasy, kumpel z celi, miła dziewczynka z puszki do kwestowania w łoniach. Z takiej perspektywy nawet spotkanie z toczącym służ z pyska „ósmym pasażerem Nostromo” mogłoby w niektórych przypadkach wyglądać na bezpieczniejsze.



Zło jest wkalkulowanym przez twórców, stałym elementem czy składnikiem świata, którego właściwie już się nie zwalcza, tylko wchodzi się z nim w układy. Kino mojej młodości było inne. Inna też bywa fantastyka filmowa – kino z definicji mitologiczne, baśniowe, oniryczne... gdzie takich rzeczy (jeszcze, na szczęście) się nie odpuszcza.

Oswojenia dzisiejszego świata dokonuje się przez odlot, dewiację, popkulturę. Fanatycy kina, pokazani w amerykańskiej „**Kinomanii**” **Angeli Christlieb** i **Stephena Kijaka** – dokumencie o maniakach oglądających zastraszającą ilość filmów, za nic sobie mają konflikty lokalne i globalne, spędzają w kinach kilkanaście godzin dziennie, ćwicząc się w trudnej logistyce zgrania terminów projekcji z posiłkami, oddawaniem moczu, snem i możliwością przemieszczania się po mieście. Organizatorzy zaprosili na seans podobnych rodzimych dziwaków. Starsza, trochę zagubiona para dostała brawa od młodszych, choć nie aż tak szalonych miłośników X Muzy. Spytałem realizatorkę, czy chciałaby, żebyśmy wszyscy byli tacy. Opowiedziała zdecydowanie *No pewnie!*

Bohater „**American Splendor**” – autentyczny rysownik kultowych komiksów, dziwak i geniusz Harvey Pekar, grany tu przez aktora, ale przywoływany też na ekran osobiście, opowiada historię swego życia i zmagania się z chorobą przy pomocy szalonych undergroundowych plansz. Byłoby fajniej, gdyby owo popkulturowe przekroczenie słabości dokonano się za sprawą komiksu *strictly* fantastycznego, ale i tak jesteśmy w tym aktorskim, a zarazem reporterskim (i rysunkowym), filmie jak najbardziej u siebie.

Intrygującą próbę przekroczenia duchowych granic poprzez mitomanię znajdziemy w „**Niebezpiecznym umyśle**” **George'a Clooneya**. Chuck Barris, twórca i producent tandetnych telewizyjnych „randek w ciemno”, jako cichy morderca na usługach CIA, to pomysł z postmodernistycznej fantastyki jakiegoś Jacka Inglota albo Tomasza Piątka. Że praca wywiadowcza może być błazenadą, ostrzegali Graham Greene i John Le Carré; że telewizja jest błazenadą zabójczą dla ducha, wiemy sami. Barris w zmyślonej biografii potoczył to, i wyszło coś więcej niż ekspiacja czy żart. Choć rzecz jest zbyt składowa, zbyt zgrabnie układana w świadectwo szaleństw naszego podzielonego świata, by mogła być od początku do końca autentyczna. ■

